Bolesław Prus
Lalka

Wybrane fragmenty, których akcja rozgrywa się w Łazienkach Królewskich

---

Tom I
Rozdział XI
Stare marzenia i nowe znajomości

Pani Meliton przeszła twardą szkołę życia, w której nauczyła się nawet lekceważyć powszechnie przyjęte opinie.

Za młodu mówiono jej powszechnie, że panna ładna i dobra, choćby nie miała majątku, może jednak wyjść za mąż. Była dobrą i ładną, lecz za mąż nie wyszła. Później mówiono również powszechnie, że wykształcona nauczycielka zdobywa sobie miłość pupilów i szacunek ich rodziców. Była wykształconą, nawet zamiłowaną nauczycielką, lecz mimo to pupilki jej dokuczały, a ich rodzice drwili z niej od pierwszego śniadania do kolacji. Potem czytała dużo romansów, w których powszechnie dowodzono, że zakochani książęta, hrabiowie i baronowie są ludźmi szlachetnymi, którzy w zamian za serce mają zwyczaj oddawać ubogim nauczycielkom rękę. Jakoż oddała serce młodemu i szlachetnemu hrabiemu, lecz - nie pozyskała jego ręki.

Już po trzydziestym roku życia wyszła za mąż za podstarzałego guwernera, Melitona, w tym jedynie celu, ażeby moralnie podźwignąć człowieka, który nieco się upijał. Nowożeniec jednak po ślubie więcej pił aniżeli przed ślubem, a małżonkę, dźwigającą go moralnie, czasami okładał kijem.

Gdy umarł, podobno na ulicy, pani Meliton odprowadziwszy go na cmentarz i przekonawszy się, że jest niezawodnie zakopany, wzięła na opiekę psa; znowu bowiem powszechnie mówiono, że pies jest najwdzięczniejszym stworzeniem. Istotnie, był wdzięcznym, dopóki nie wściekł się i nie pokąsał służącej, co samą panią Meliton przyprawiło o ciężką chorobę.

Pół roku leżała w szpitalu, w osobnym gabinecie, samotna i zapomniana przez swoje pupilki, ich rodziców i hrabiów, którym oddawała serce. Był czas do rozmyślań. Toteż gdy wyszła stamtąd chuda, stara, z posiwiałymi i przerzedzonymi włosami, znowu zaczęto mówić powszechnie, że - choroba zmieniła ją do niepoznania.

- Zmądrzałam - odpowiedziała pani Meliton.

Nie była już nauczycielką, ale rekomendowała nauczycielki; nie myślała o zamążpójściu, ale swatała młode pary;

nikomu nie oddawała swego serca, ale we własnym mieszkaniu ułatwiała schadzki zakochanym. Że zaś każdy i za wszystko musiał jej płacić, więc miała trochę pieniędzy i z nich żyła.

W początkach nowej kariery była posępna i nawet cyniczna.

- Ksiądz - mówiła osobom zaufanym - ma dochody ze ślubów, ja z zaręczyn. Hrabia... bierze pieniądze za ułatwianie stosunków koniom, ja za ułatwianie znajomości ludziom.

Z czasem jednak stała się powściągliwszą w mowie, a niekiedy nawet moralizującą, spostrzegłszy, że wygłaszanie zdań i opinii przyjętych przez ogół wpływa na wzrost dochodów.

Pani Meliton od dawna znała się z Wokulskim. A że lubiła widowiska publiczne i miała zwyczaj wszystko śledzić, więc prędko zauważyła, że Wokulski zbyt nabożnie przypatruje się pannie Izabeli. Zrobiwszy to odkrycie wzruszyła ramionami; cóż ją mógł obchodzić kupiec galanteryjny zakochany w pannie Łęckiej? Gdyby upodobał sobie jakąś bogatą kupcównę albo córkę fabrykanta, pani Meliton miałaby materiał do swatów, Ale tak!...

Dopiero gdy Wokulski powrócił z Bułgarii i przywiózł majątek, o którym opowiadano cuda, pani Meliton sama zaczepiła go o pannę Izabelę ofiarowując swoje usługi. I stanął milczący układ: Wokulski płacił hojnie, a pani Meliton udzielała mu wszelkich informacyj o rodzinie Łęckich i związanych z nimi osobach wyższego świata. Za jej nawet pośrednictwem Wokulski nabył weksle Łęckiego i srebra panny Izabeli.

Przy tej okazji pani Meliton odwiedziła Wokulskiego w jego prywatnym mieszkaniu, ażeby mu powinszować.

- Bardzo rozsądnie przystępujesz pan do rzeczy - mówiła.- Wprawdzie ze sreber i serwisu niewielka będzie pociecha, ale skup weksli Łęckiego jest arcydziełem... Znać kupca!...

Usłyszawszy taką pochwałę Wokulski otworzył biurko, poszukał w nim i za chwilę wydobył paczkę weksli.

- Te same? - rzekł pokazując je pani Meliton.

- Tak. Chciałabym mieć te pieniądze!... - odpowiedziała z westchnieniem.

Wokulski ujął paczkę w obie ręce i rozdarł ją.

- Znać kupca?... spytał.

Pani Meliton przypatrzyła mu się ciekawie i kiwając głową, mruknęła :

- Szkoda pana.

- Dlaczegóż to, jeżeli łaska?...

- Szkoda pana - powtórzyła. - Sama jestem kobietą i wiem, że kobiet nie zdobywa się ofiarami, tylko siłą.

- Czy tak?

- Siłą piękności, zdrowia, pieniędzy...

- Rozumu... - wtrącił Wokulski jej tonem.

- Rozumu nie tyle, prędzej pięści - dodała pani Meliton z szyderczym uśmiechem. - Znam dobrze moją płeć i nieraz miałam okazję litować się nad naiwnością męską.

- Dla mnie niech pani sobie nie zadaje tego trudu.

- Myślisz pan, że nie będzie potrzebny? - spytała patrząc mu w oczy.

- Łaskawa pani - odparł Wokulski - jeżeli panna Izabela jest taką, jak mi się wydaje, to może mnie kiedyś oceni. A jeżeli nią nie jest, zawsze będę miał czas rozczarować się...

- Zrób to wcześniej, panie Wokulski, zrób wcześnie; - rzekła podnosząc się z fotelu. - Bo wierz mi, łatwiej wyrzucić tysiące rubli

z kieszeni aniżeli jedno przywiązanie z serca. Szczególniej, gdy się już zagnieździ. A nie zapomnij pan - dodała - dobrze umieścić mój kapitalik. Nie darłbyś paru tysięcy, gdybyś wiedział, jak ciężko nieraz trzeba na nie pracować.

W maju i czerwcu wizyty pani Meliton stały się częstszymi, ku zmartwieniu Rzeckiego, który podejrzewał spisek. I nie mylił się. Był spisek, ale przeciw pannie Izabeli; stara dama dostarczała ważnych informacyj Wokulskiemu, ale dotyczących tylko panny Izabeli. Zawiadamiała go mianowicie: w których dniach hrabina wybiera się ze swoją siostrzenicą na spacer do Łazienek.

W takich wypadkach pani Meliton wpadała do sklepu i zrealizowawszy sobie wynagrodzenie w formie kilku lub kilkunastorublowego drobiazgu, mówiła Rzeckiemu dzień i godzinę.

Dziwne to bywały epoki dla Wokulskiego. Dowiedziawszy się, że jutro będą panie w Łazienkach, już dziś tracił spokojność. Obojętniał dla interesów, był rozdrażniony; zdawało mu się, że czas stoi w miejscu i że owe jutro nie nadejdzie nigdy. Noc miał pełną dzikich marzeń; niekiedy w półśnie, półjawie szeptał:

"Cóż to jest w rezultacie?... nic!... Ach, jakież ze mnie bydlę..."

Lecz gdy nadszedł ranek, bał się spojrzeć w okno, ażeby nie zobaczyć zachmurzonego nieba, i znowu do południa czas rozciągał mu się tak, że w jego ramach mógł był pomieścić całe swoje życie, zatrute dziś okropną goryczą.

"Czyliż to może być miłość?..." - zapytywał sam siebie z desperacją.

Rozgorączkowany, już w południe kazał zaprzęgać i jechać. Co chwilę zdawało mu się, że spotyka wracający powóz hrabiny, to znowu, że jego rwące się z cugli konie idą zbyt wolno.

Znalazłszy się w Łazienkach wyskakiwał z powozu i biegł nad sadzawkę, gdzie zazwyczaj spacerowała hrabina lubiąca karmić łabędzie. Przychodził zawczasu, a wtedy padał gdzieś na ławkę, zalany zimnym potem, i siedział bez ruchu, z oczyma skierowanymi w stronę pałacu, zapominając o świecie.

Nareszcie na końcu alei ukazały się dwie kobiece figury, czarna i szara. Wokulskiemu krew uderzyła do głowy.

"One!... Czy mnie choć zatrzymają?.. "

Podniósł się z ławki i szedł naprzeciw nich jak lunatyk, bez tchu. Tak, to jest panna Izabela; prowadzi ciotkę i o czymś z nią rozmawia.

Wokulski przypatruje się jej i myśli:

"No i cóż jest w niej nadzwyczajnego?... Kobieta jak inne... Zdaje mi się, że bez potrzeby szaleję na jej rachunek..."

Ukłonił się, panie się odkłoniły. Idzie dalej nie odwracając głowy, ażeby się nie zdradzić. Nareszcie ogląda się: obie panie znikły między zielonością.

"Wrócę się - myśli - jeszcze raz spojrzę... Nie, nie wypada!"

I czuje w tej chwili, że połyskująca woda sadzawki ciągnie go z nieprzepartą siłą.

"Ach, gdybym wiedział, że śmierć jest zapomnieniem... A jeżeli nie jest?... Nie, w naturze nie ma miłosierdzia... Czy godzi się w nędzne ludzkie serce wlać bezmiar tęsknoty, a nie dać nawet tej pociechy, że śmierć jest nicością?"

Prawie w tym samym czasie hrabina mówiła do panny Izabeli:

- Coraz bardziej przekonywam się, Belu, że pieniądze nie dają szczęścia. Ten Wokulski zrobił świetną jak dla niego karierę, lecz cóż stąd?... Już nie pracuje w sklepie, ale nudzi się w Łazienkach. Uważałaś, jaką on ma znudzoną minę?

- Znudzoną? - powtórzyła panna Izabela. - Mnie on wydaje się przede wszystkim zabawnym.

- Nie dostrzegłam tego - zdziwiła się hrabina.

- Więc... nieprzyjemnym - poprawiła się panna Izabela.

Wokulski nie miał odwagi wyjść z Łazienek. Chodził po drugiej stronie sadzawki i z daleka przypatrywał się migającej między drzewami szarej sukni. Dopiero później spostrzegł, że przypatruje się aż dwom szarym sukniom, a trzeciej niebieskiej i że żadna z nich - nie należy do panny Izabeli.

"Jestem piramidalnie głupi" - pomyślał.

Ale nic mu to nie pomogło.

Pewnego dnia, w pierwszej połowie czerwca, pani Meliton dała znać Wokulskiemu, że jutro w południe panna Izabela będzie na spacerze z hrabiną i - z prezesową. Drobny ten wypadek mógł mieć pierwszorzędne znaczenie.

Wokulski bowiem od pamiętnej Wielkanocy parę razy odwiedzał prezesową i poznał, że staruszka jest mu bardzo życzliwa. Zwykle słuchał jej opowiadań o dawnych czasach, rozmawiał o swoim stryju, nawet ostatecznie umówił się o nagrobek dla niego. W toku tej wymiany

myśli, nie wiadomo skąd, wplątało się imię panny Izabeli tak nagle, że Wokulski nie mógł ukryć wzruszenia; twarz mu się zmieniła, głos stłumił się.

Staruszka przyłożyła binokle do oczu i wpatrzywszy się w Wokulskiego spytała :

- Czy mi się tylko wydaje, czyli też panna Łęcka nie jest ci obojętną.?

- Prawie nie znam jej... Mówiłem z nią raz w życiu... - tłumaczył się zmieszany Wokulski.

Prezesowa wpadła w zamyślenie i kiwając głową, szepnęła:

- Ha...

Wokulski pożegnał ją, ale owe "ha!" utkwiło mu w pamięci. W każdym razie był pewny, że w prezesowej nie ma nieprzyjaciółki. I otóż w niecały tydzień po tej rozmowie dowiedział się, że prezesowa jedzie z hrabiną i z panną Izabelą na spacer do Łazienek. Czyżby dowiedziała się, że panie go tam spotykają?... A może chce ich zbliżyć?

Wokulski spojrzał na zegarek; była trzecia po południu.

"Więc to jutro - pomyślał - za godzin... dwadzieścia cztery... Nie, nie tyle... Za ileż to?..."

Nie mógł zrachować, ile godzin upłynie od trzeciej do pierwszej w południe. Ogarnął go niepokój ; nie jadł obiadu ; fantazja rwała się naprzód, ale trzeźwy rozum hamował ją.

"Zobaczymy, co będzie jutro. A nuż będzie deszcz albo która z pań zachoruje?"

Wybiegł na ulicę i błąkając się bez celu, powtarzał:

"No, zobaczymy, co będzie jutro... A może mnie nie zatrzymają?..

Zresztą panna Izabela jest sobie piękna panna, przypuśćmy, że nawet niezwykle piękna, ale tylko panna, nie nadprzyrodzone zjawisko. Tysiące równie ładnych chodzi po świecie, a ja też nie myślę czepiać się zębami jednej spódnicy. Odepchnie mnie?... Dobrze!... Z tym większym rozmachem padnę w objęcia innej..."

Wieczorem poszedł do teatru, lecz opuścił go po pierwszym akcie. Znowu wałęsał się po mieście, a gdzie stąpił, prześladowała go myśl jutrzejszego spaceru i niejasne przeczucie, że jutro zbliży się do panny Izabeli.

Minęła noc, ranek. O dwunastej kazał zaprząc powóz. Napisał kartkę do sklepu, że przyjdzie później, i poszarpał jedną parę rękawiczek. Nareszcie wszedł służący.

"Konie gotowe!" - błysnęło Wokulskiemu.

Wyciągnął rękę po kapelusz.

- Książę!... - zameldował służący.

Wokulskiemu pociemniało w oczach.

- Proś.

Książę wszedł.

- Dzień dobry, panie Wokulski - zawołał. - Pan gdzieś wyjeżdża? - Zapewne do składów albo na kolej. Ale nic z tego. Aresztuję pana i zabieram do siebie. Będę nawet tak niegrzeczny, że zakwateruję się do pańskiego powozu, bo dziś swego nie wziąłem. Jestem jednak pewny, że wszystko to wybaczy mi pan ze względu na doskonałe wiadomości.

- Raczy książę spocząć?...

- Na chwilkę. Niech pan sobie wyobrazi - mówił książę siadając - że dopóty dokuczałem naszym panom bratom... Czy dobrze powiedziałem?... Dopóty ich prześladowałem, aż obiecali przyjść w kilku do mnie i wysłuchać projektu pańskiej spółki. Natychmiast więc pana zabieram, a raczej zabieram się z panem i - jedziemy do mnie.

Wokulski doznał takiego wrażenia jak człowiek, który spadł z wysokości i uderzył piersiami o ziemię.

Pomieszanie jego nie uszło uwagi księcia, który uśmiechnął się przypisując to radości z jego wizyty i zaprosin. Przez głowę mu nawet nie przeszło, że dla Wokulskiego może być ważniejszym spacer do Łazienek aniżeli wszyscy książęta i spółki.

- A więc jesteśmy gotowi? - spytał książę powstając z fotelu.

Sekundy brakowało, ażeby Wokulski powiedział, że nie pojedzie i nie chce żadnych spółek. Ale w tym samym momencie przebiegła mu myśl:

"Spacer - to dla mnie, spółka - dla niej."

Wziął kapelusz i pojechał z księciem. Zdawało mu się, że powóz nie jedzie po bruku, ale po jego własnym mózgu.

"Kobiet nie zdobywa się ofiarami, tylko siłą, bodaj pięści..."- przypomniał sobie zdanie pani Meliton. Pod wpływem tego aforyzmu chciał porwać księcia za kołnierz i wyrzucić go na ulicę. Ale trwało to tylko chwilę.

Książę przypatrywał mu się spod rzęs, a widząc, że Wokulski to czerwienieje, to blednieje, myślał:

"Nie spodziewałem się, że zrobię aż taką przyjemność temu poczciwemu Wokulskiemu. Tak, trzeba zawsze podawać rękę nowym ludziom..."

W swoim towarzystwie książę nosił tytuł zagorzałego patrioty, prawie szowinisty; poza towarzystwem cieszył się opinią jednego z najlepszych obywateli. Bardzo lubił mówić po polsku, a nawet treścią jego francuskich rozmów były interesa publiczne.

Był arystokratą od włosów do nagniotków, duszą, sercem, krwią. Wierzył, że każde społeczeństwo składa się z dwu materiałów: zwyczajnego tłumu i klas wybranych. Zwyczajny tłum był dziełem natury i mógł nawet pochodzić od małpy, jak to wbrew Pismu świętemu utrzymywał Darwin. Lecz klasy wybrane miały jakiś wyższy początek i pochodziły, jeżeli nie od bogów, to przynajmniej od pokrewnych im bohaterów, jak Herkules, Prometeusz, od biedy - Orfeusz.

Książę miał we Francji przyjaciela, hrabiego (w najwyższym stopniu dotkniętego zarazą demokratyczną), który drwił sobie z nadziemskich początków arystokracji.

- Mój kuzynie - mówił - myślę, że nie zdajesz sobie należycie sprawy z kwestii rodów. Cóż to są wielkie rody? Są nimi takie, których przodkowie byli hetmanami,

senatorami, wojewodami, czyli po dzisiejszemu: marszałkami, członkami izby wyższej lub prefektami departamentów. No - a przecie takich panów znamy, nic w nich nadzwyczajnego... Jedzą, piją, grają w karty, umizgają się do kobiet, zaciągają długi - jak reszta śmiertelników, od których są niekiedy głupsi.

Księciu na twarz występowały chorobliwe rumieńce.

- Czy spotkałeś kiedy, kuzynie - odparł - prefekta lub marszałka z takim wyrazem majestatu, jaki widujemy na portretach naszych przodków?...

- Cóż w tym dziwnego - śmiał się zarażony hrabia. - Malarze nadawali obrazom wyraz, o jakim nie śniło się żadnemu z oryginałów; tak jak heraldycy i historycy opowiadali o nich bajeczne legendy. To wszystko kłamstwa, mój kuzynie!... To tylko kulisy i kostiumy, które z jednego Wojtka robią księcia, a z innego parobka. W rzeczywistości jeden i drugi jest tylko lichym aktorem.

- Z szyderstwem, kuzynie, nie ma rozprawy! - wybuchał książę i uciekał. Biegł do siebie, kładł się na szezlongu z rękoma splecionymi pod głową i patrząc w sufit widział przesuwające się na nim postacie nadludzkiego wzrostu, siły, odwagi, rozumu, bezinteresowności. To byli - przodkowie

jego i hrabiego; tylko że hrabia zapierał się ich. Czyżby istniała w nim jaka przymieszka krwi?...

Tłumem zwyczajnych śmiertelników książę nie tylko nie gardził, ale owszem: miał dla nich życzliwość, a nawet stykał się z nimi i interesował ich potrzebami. Wyobrażał sobie, że jest jednym z Prometeuszów, którzy mają poniekąd honorowy obowiązek sprowadzić tym biednym ludziom ogień z nieba na ziemię. Zresztą religia nakazywała mu sympatię dla maluczkich i książę rumienił się na samą myśl, że większa część towarzystwa stanie kiedyś przed boskim sądem bez tego rodzaju zasługi.

Więc aby uniknąć wstydu dla siebie, bywał i nawet zwoływał do swego mieszkania rozmaite sesje, wydawał po dwadzieścia pięć i po sto rubli na akcje rozmaitych przedsiębiorstw publicznych, nade wszystko zaś - ciągle martwił się nieszczęśliwym położeniem kraju; a każdą mowę swoją kończył frazesem:

- Bo, panowie, myślmy najpierw o tym, ażeby podźwignąć nasz nieszczęśliwy kraj...

A gdy to powiedział, czuł, że z serca spada mu jakiś ciężar; tym większy, im więcej było słuchaczów albo im więcej rubli wydał na akcje.

Zwołać sesję, zachęcić do przedsiębiorstwa i cierpieć, wciąż cierpieć nad nieszczęśliwym krajem, oto jego zdaniem były obowiązki obywatela. Gdyby go jednak spytano, czy zasadził kiedy drzewo, którego cień ochroniłby ludzi i ziemię od spiekoty? albo czy kiedy usunął z drogi kamień raniący koniom kopyta? - byłby szczerze zdziwiony.

Czuł i myślał, pragnął i cierpiał - za miliony. Tylko - nic nigdy nie zrobił użytecznego. Zdawało mu się, że ciągłe frasowanie się całym krajem ma bez miary wyższą wartość od utarcia nosa zasmolonemu dziecku.

W czerwcu fizjognomia Warszawy ulega widocznej zmianie. Puste przedtem hotele napełniają się i podwyższają ceny, na wielu domach ukazują się ogłoszenia: "Apartament z meblami do wynajęcia na kilka tygodni:" Wszystkie dorożki są zajęte, wszyscy posłańcy biegają. Na ulicach, w ogrodach, teatrach, w restauracjach, na wystawach, w sklepach i magazynach strojów damskich widać figury nie spotykane w zwykłym czasie. Są nimi tędzy i opaleni mężczyźni w granatowych czapkach z daszkami, w zbyt obszernych butach, w ciasnych rękawiczkach, w garniturach pomysłu prowincjonalnego krawca. Towarzyszą im gromadki dam, nie odznaczających się pięknością ani warszawskim szykiem, tudzież niemniej liczne gromadki niezręcznych dzieci,

którym z ust szeroko otwartych wygląda zdrowie.

Jedni z wiejskich gości przyjeżdżają tu z wełną na jarmark, drudzy na wyścigi, inni, ażeby zobaczyć wełnę i wyścigi; ci dla spotkania się z sąsiadami, których na miejscu mają o wiorstę drogi, tamci dla odświeżenia się w stolicy mętnej wody i pyłu, a owi męczą się przez kilkudniową podróż sami nie wiedząc po co.

Z podobnego zjazdu skorzystał książę, ażeby zbliżyć Wokulskiego z ziemiaństwem.

Książę we własnym pałacu, na pierwszym piętrze, zajmował ogromne mieszkanie. Część jego, złożona z gabinetu pana, biblioteki i fajczarni, była miejscem męskich zebrań, na których książę przedstawiał swoje lub cudze projekta dotyczące spraw publicznych. Zdarzało się to po kilka razy w roku. Ostatnia nawet sesja wiosenna była poświęcona kwestii statków śrubowych na Wiśle, przy czym bardzo wyraźnie zarysowały się trzy stronnictwa. Pierwsze, złożone z księcia i jego osobistych przyjaciół, koniecznie domagało się śrubowców, drugie zaś, mieszczańskie, uznając w zasadzie piękność projektu, uważało go jednak za przedwczesny i nie chciało dać na ten cel pieniędzy. Trzecie stronnictwo składało się tylko z dwu osób: pewnego technika, który twierdził, że śrubowce nie mogą pływać po

Wiśle, i pewnego głuchego magnata, który na wszystkie odezwy, skierowane do jego kieszeni, stale odpowiadał:

- Proszę trochę głośniej, bo nic nie słychać...

Książę z Wokulskim przyjechali o pierwszej, a w kwadrans po nich zaczęli schodzić się i zjeżdżać inni uczestnicy sesji. Książę witał każdego z uprzejmą poufałością, prezentował Wokulskiego, a następnie podkreślał przybysza na liście zaproszonych bardzo długim i bardzo czerwonym ołówkiem.

Jednym z pierwszych gości był pan Łęcki; wziął Wokulskiego na stronę i jeszcze raz wypytał go o cel i znaczenie spółki, do której należał już całą duszą, ale nigdy nie mógł dobrze spamiętać, o co chodzi. Tymczasem inni panowie przypatrywali się intruzowi i zniżonym głosem robili o nim uwagi.

- Bycza mina! - szepnął otyły marszałek wskazując okiem na Wokulskiego. - Szczeć na głowie jeży mu się jak dzikowi, pierś upadam do nóg, oko bystre... Ten by nie ustał na polowaniu!

- I twarz, panie... - dodał baron z fizjognomią Mefistofelesa.- Czoło, panie... wąsik, panie... mała hiszpanka, panie. Wcale, panie... wcale... Rysy trochę, panie... ale całość, panie...

- Zobaczymy, jaki będzie w interesach - dorzucił nieco przygarbiony hrabia.

- Rzutki, ryzykowny, t e k - odezwał się jakby z piwnicy drugi hrabia, który siedział sztywnie na krześle, nosił bujne faworyty i porcelanowymi oczyma patrzył tylko przed siebie jak Anglik z "Tournal Amusant".

Książę powstał z fotelu i chrząknął; zebrani umilkli, dzięki czemu można było usłyszeć resztę opowiadania marszałka:

- Wszyscy patrzymy na las, a tu coś skwierczy pod kopytami. Wyobraź sobie pan dobrodziej, że chart idący przy koniach na smyczy zdusił w bruździe szaraka!...

To powiedziawszy marszałek uderzył olbrzymią dłonią w udo, z którego mógł był wyciąć sobie sekretarza i jego pomocnika.

Książę chrząknął drugi raz, marszałek zmieszał się i niezwykle wielkim fularem otarł spocone czoło.

- Szanowni panowie - odezwał się książę. - Poważyłem się fatygować szanownych panów w pewnym... nader ważnym interesie publicznym, który, jak to wszyscy czujemy, powinien zawsze stać na straży naszych interesów publicznych... Chciałem powiedzieć... naszych idei... to jest...

Książę zdawał się być zakłopotany; wnet jednak ochłonął i mówił dalej :

- Chodzi o inte... to jest o plan, a raczej... o projekt zawiązania spółki do ułatwiania handlu...

- Zbożem - wtrącił ktoś z kąta.

- Właściwie - ciągnął książę - chodzi nie o handel zbożem, ale...

- Okowitą - pośpieszył ten sam głos.

- Ależ nie!... O handel, a raczej o ułatwienie handlu między Rosją i zagranicą towarami, no... towarami... Miasto zaś nasze, pożądane jest, ażeby się stało centrum takowego...

- A jakież to towary? - spytał przygarbiony hrabia.

- Stronę fachową kwestii raczy objaśnić nam łaskawie pan Wokulski, człowiek... człowiek fachowy - zakończył książę. - Pamiętajmy jednak, panowie, o obowiązkach, jakie na nas wkłada troska o interesa publiczne i ten nieszczęśliwy kraj...

- Jak Boga kocham, zaraz daję dziesięć tysięcy rubli!... - wrzasnął marszałek.

- Na co? - spytał hrabia udający autentycznego Anglika.

- Wszystko jedno!... - odparł wielkim głosem marszałek.- Powiedziałem: rzucę w Warszawie pięćdziesiąt tysięcy rubli, więc niech dziesięć pójdzie na cele dobroczynne, bo kochany nasz książę mówi cudownie!... z rozumu i z serca, jak Boga kocham...

- Przepraszam - odezwał się Wokulski - ale nie chodzi tu o spółkę dobroczynną, tylko o spółkę zapewniającą zyski.

- Otóż to!... - wtrącił hrabia zgarbiony.

- T e k!... - potwierdził hrabia-Anglik.

- Co mnie za zysk z dziesięciu tysięcy? - zaprotestował marszałek. - Z torbami bym poszedł pod Ostrą Bramę przy takich zyskach.

Zgarbiony hrabia wybuchnął:

- Proszę o głos w kwestii : czy należy lekceważyć małe zyski!... To nas gubi!... to, panowie - wołał pukając paznokciem w poręcz fotelu.

- Hrabio - przerwał słodko książę - pan Wokulski ma głos.

- T e k!... - poparł go hrabia-Anglik czesząc bujne faworyty.

- Prosimy więc szanownego pana Wokulskiego - odezwał się nowy głos -

ażeby ten publiczny interes, który nas zgromadził tu, do gościnnych salonów księcia, raczył nam przedstawić z właściwą mu jasnością i zwięzłością.

Wokulski spojrzał na osobę przyznającą mu jasność i zwięzłość. Był to znakomity adwokat, przyjaciel i prawa ręka księcia; lubił mówić kwieciście, wybijając takt ręką i przysłuchując się własnym frazesom, które zawsze znajdował wybornymi.

- Tylko żebyśmy zrozumieli wszyscy - mruknął ktoś w kącie zajętym przez szlachtę, która nienawidziła magnatów.

- Wiadomo panom - zaczął Wokulski - że Warszawa jest handlową stacją między Europą zachodnią i wschodnią. Tu zbiera się i przechodzi przez nasze ręce część towarów francuskich i niemieckich przeznaczonych dla Rosji, z czego moglibyśmy mieć pewne zyski, gdyby nasz handel...

- Nie znajdował się w ręku Żydów - wtrącił półgłosem ktoś od stołu, gdzie siedzieli kupcy i przemysłowcy.

- Nie - odparł Wokulski. - Zyski istniałyby wówczas, gdyby nasz handel był prowadzony porządnie.

- Z Żydami nie może być porządny...

- Dziś jednak - przerwał adwokat księcia - szanowny pan Wokulski daje nam możność podstawienia kapitałów chrześcijańskich w miejsce kapitału starozakonnych...

- Pan Wokulski sam wprowadza Żydów do handlu - bryznął oponent ze stanu kupieckiego.

Zrobiło się cicho.

- Ze sposobu prowadzenia moich interesów nie zdaję sprawy przed nikim - ciągnął dalej Wokulski. - Wskazuję panom drogę uporządkowania handlu Warszawy z zagranicą, co stanowi pierwszą połowę mego projektu i jedno źródło zysku dla krajowych kapitałów. Drugim źródłem jest handel z Rosją. Znajdują się tam towary poszukiwane u nas i tanie. Spółka, która zajęłaby się nimi, mogłaby mieć piętnaście do dwudziestu procentów rocznie od wyłożonego kapitału. Na pierwszym miejscu stawiam tkaniny...

- To jest podkopywanie naszego przemysłu - odezwał się oponent z grupy kupieckiej.

- Mnie nie obchodzą fabrykanci, tylko konsumenci... - odpowiedział Wokulski.

Kupcy i przemysłowcy poczęli szeptać między sobą w sposób mało życzliwy dla Wokulskiego.

- Otóż i dotarliśmy do interesu publicznego! zawołał wzruszonym głosem książę. - Kwestia zarysowuje się tak: czy projekta szanownego pana Wokulskiego są objawem pomyślnym dla kraju?... Panie mecenasie... - zwrócił się książę do adwokata, czując potrzebę wyręczenia się nim w kłopotliwej nieco sytuacji.

- Szanowny pan Wokulski - zabrał głos adwokat - z właściwą mu gruntownością raczy nas objaśnić: czy sprowadzanie owych tkanin, aż z tak daleka, nie przyniesie uszczerbku naszym fabrykom?

- Przede wszystkim - rzekł Wokulski - owe nasze fabryki nie są naszymi, lecz niemieckimi...

- Oho!... - zawołał oponent z grupy kupców.

- Jestem gotów - mówił Wokulski - natychmiast wyliczyć fabryki, w których cała administracja i wszyscy lepiej płatni robotnicy są Niemcami, których kapitał jest niemiecki, a rada zarządzająca rezyduje w Niemczech; gdzie nareszcie robotnik nasz nie ma możności ukształcić się wyżej w swoim fachu, ale jest parobkiem źle płatnym, źle traktowanym i na dobitkę germanizowanym...

- To jest ważne!... - wtrącił hrabia zgarbiony.

- T e k... - szepnął Anglik.

- Jak Boga kocham, doświadczam emocji słuchając!... - zawołał marszałek. - Nigdym nie myślał, że tak można zabawić się przy podobnej rozmowie... Zaraz wrócę...

I opuścił gabinet, aż uginała się pod jego stopami podłoga.

- Czy mam wyliczać nazwiska? - spytał Wokulski.

Grupa kupców i przemysłowców złożyła w tej chwili dowód rzadkiej powściągliwości nie domagając się nazwisk. Adwokat szybko podniósł się z Fotelu i zatrzepotawszy rękoma zawołał:

- Sądzę, że nad kwestią miejscowych fabryk możemy przejść do porządku. Teraz szanowny pan Wokulski raczy nam, z właściwą mu jędrnością, objaśnić: jakie pozytywne korzyści z jego projektu odniesie...

- Nasz nieszczęśliwy kraj - zakończył książę.

- Proszę panów - mówił Wokulski - gdyby łokieć mego perkalu kosztował tylko o dwa grosze taniej niż dziś, wówczas na każdym milionie kupionych tu łokci ogół oszczędziłby dziesięć tysięcy rubli...

- Cóż to znaczy dziesięć tysięcy rubli?... - spytał marszałek, który już powrócił do gabinetu, ale jeszcze nie wpadł w tok rozpraw.

- To wiele znaczy... bardzo wiele! - zawołał hrabia zgarbiony.- Raz nauczmy się szanować zyski groszowe...

- T e k... Pens jest ojcem gwinei... - dodał hrabia ucharakteryzowany na Anglika.

- Dziesięć tysięcy rubli - ciągnął Wokulski - jest to fundament dobrobytu dla dwudziestu rodzin co najmniej...

- Kropla w morzu - mruknął jeden z kupców.

- Ale jest jeszcze inny wzgląd - mówił Wokulski - obchodzący wprawdzie tylko kapitalistów. Mam do dyspozycji towaru za trzy do czterech milionów rubli rocznie...

- Upadam do nóg!... - szepnął marszałek.

- To nie jest mój majątek - wtrącił Wokulski - mój jest znacznie skromniejszy...

- Lubię takich!... - rzekł zgarbiony hrabia.

- T e k... - dodał Anglik.

- Owe trzy miliony rubli stanowią mój osobisty kredyt i przynoszą mi bardzo mały procent jako pośrednikowi - mówił Wokulski.- Oświadczam jednak, że o ile w miejsce kredytu podstawiłoby się gotówkę, zysk z niej wynosiłby piętnaście do dwudziestu procentów, a może więcej Otóż ten punkt sprawy obchodzi panów,

którzy składacie pieniądze w bankach na niski procent. Pieniędzmi tymi obracają inni i zyski ciągną dla siebie. Ja zaś ofiaruję panom sposobność użycia ich bezpośredniego i powiększenia własnych dochodów. Skończyłem.

- Pysznie! - zawołał przygarbiony hrabia. - Czy jednak nie można by dowiedzieć się szczegółów bliższych?

- O tych mogę mówić tylko z moimi wspólnikami - odpowiedział Wokulski:

- Jestem - rzekł zgarbiony hrabia i podał mu rękę.

- T e k - dodał pseudo-Anglik wyciągnąwszy do Wokulskiego dwa palce.

- Moi panowie! - odezwał się wygolony mężczyzna z grupy szlachty nienawidzącej magnatów. - Mówicie tu o handlu perkalami, który *nas* nic nie obchodzi... Ale, panowie!... - ciągnął dalej płaczliwym głosem - *m*y mamy za to zboże w spichlerzach, *my* mamy okowitę w składach, na której wyzyskują nas pośrednicy w sposób - że nie powiem - niegodny...

Obejrzał się po gabinecie. Grupa szlachty gardzącej magnatami dała mu brawo.

Promieniejąca dyskretną radością twarz księcia zajaśniała w tej chwili blaskiem prawdziwego natchnienia.

- Ależ, panowie! - zawołał - dziś mówimy o handlu tkaninami, lecz jutro i pojutrze któż zabroni nam naradzić się nad innymi kwestiami?... Proponuję więc...

- Jak Boga kocham, cudnie mówi ten kochany książę - zawołał marszałek.

- Słuchamy... słuchamy!... - poparł go adwokat, silnie okazując, że stara się pohamować zapał dla księcia.

- A więc, panowie - ciągnął wzruszony książę - proponuję jeszcze następujące sesje: jedną w sprawie handlu zbożem, drugą w sprawie handlu okowitą...

- A kredyt dla rolników?... - spytał ktoś z nieprzejednanej szlachty.

- Trzecią w sprawie kredytu dla rolników - mówił książę.- Czwartą...

Tu zaciął się.

- Czwartą i piątą - pochwycił adwokat - poświęcimy rozważaniu ogólnej ekonomicznej sytuacji...

- Naszego nieszczęśliwego kraju - dokończył książę prawie ze łzami w oczach.

- Panowie!... - wrzasnął adwokat obcierając nos z akcentem rozrzewnienia. - Uczcijmy naszego gospodarza, znakomitego obywatela, najzacniejszego z ludzi...

- Dziesięć tysięcy rubli, jak Bo... - zawołał marszałek.

- Przez powstanie! - szybko dokończył adwokat.

- Brawo!... niech żyje książę!... - zawołano przy akompaniamencie łoskotu nóg i krzeseł.

Grupa szlachty gardzącej arystokracją krzyczała najgłośniej.

Książę zaczął ściskać swoich gości nie panując już nad wzruszeniem; pomagał mu adwokat, wszystkich całował, a sam bez ceremonii płakał. Kilka osób skupiło się przy Wokulskim.

- Przystępuję na początek z pięćdziesięcioma tysiącami rubli mówił zgarbiony hrabia. - Na rok przyszły zaś... zobaczymy...

- Trzydzieści, panie... trzydzieści tysięcy rubli, panie... Bardzo, panie... bardzo! - dodał baron z fizjognomią Mefistofelesa.

- I ja trzydzieści tysięcy... t e k!... - dorzucił hrabia-Anglik kiwając głową.

- A ja dam dwa... trzy razy tyle, co... kochany książę. Jak Boga kocham!... - rzekł marszałek.

Paru oponentów z grupy kupieckiej również zbliżyło się do Wokulskiego. Milczeli, lecz tkliwe ich spojrzenia stokroć więcej miały wymowy aniżeli najczulsze słowa.

Z kolei zbliżył się do Wokulskiego człowiek młody, mizerny, z rzadkim zarostem na twarzy, ale z niewątpliwymi śladami przedwczesnego zniszczenia w całej postaci. Wokulski spotykał go na rozmaitych widowiskach, wreszcie i na ulicy, jeżdżącego najszybszymi dorożkami.

- Jestem Maruszewicz - rzekł zniszczony młody człowiek z miłym uśmiechem. - Wybaczy pan, że prezentuję się tak obcesowo i w dodatku przy pierwszej znajomości będę miał prośbę...

- Słucham pana.

Młodzieniec wziął Wokulskiego pod ramię i zaprowadziwszy go do okna mówił :

- Kładę od razu karty na stół; z takimi ludźmi jak pan nie można inaczej. Jestem niemajętny, mam dobre instynkta i chciałbym znaleźć zajęcie. Pan tworzy spółkę, czy nie mógłbym pracować pod pańskim kierunkiem?...

Wokulski przypatrywał mu się z uwagą. Propozycja, którą słyszał, jakoś nie pasowała do wyniszczonej figury i niepewnych spojrzeń młodzieńca. Wokulski uczuł niesmak, mimo to spytał:

- Cóż pan umie? Jaki pański fach?

- Fachu, uważa pan, jeszcze nie wybrałem, ale mam wielkie zdolności i mogę podjąć się każdego zajęcia.

- A na jaką pan liczy pensję?

- Tysiąc... dwa tysiące rubli... - odparł zakłopotany młodzieniec.

Wokulski mimo woli potrząsnął głową.

- Wątpię - odparł - czy będziemy mieli posady odpowiadające pańskim wymaganiom. Niech pan jednak wstąpi kiedy do mnie...

Na środku gabinetu przygarbiony hrabia zabrał głos.

- A zatem - mówił - szanowni panowie, w zasadzie przystępujemy do spółki proponowanej przez pana Wokulskiego. Interes wydaje się bardzo dobrym, a obecnie chodzi tylko o bliższe szczegóły i spisanie aktu. Zapraszam więc panów, chcących zostać uczestnikami, do mnie na jutro, o dziewiątej wieczorem...

- Będę u ciebie, kochany hrabio, jak Boga kocham - odezwał się otyły marszałek - i może jeszcze przyprowadzę ci z paru Litwinów; no, ale powiedz, dlaczegóż to my mamy zawiązywać spółki kupieckie?... Niechby już sami kupcy...

- Choćby dlatego - odparł hrabia gorąco - ażeby nie mówiono, że nic nie robimy, tylko obcinamy kupony...

Książę poprosił o głos.

- Zresztą - rzekł - mamy na widoku jeszcze dwie spółki: do handlu zbożem i - okowitą. Kto nie zechce należeć do jednej, może należeć do drugiej... Nadto zaś prosimy szanownego pana Wokulskiego, żeby w innych naszych naradach chciał przyjąć udział...

- T e k!... - wtrącił hrabia-Anglik.

- I z właściwym mu talentem raczył oświetlać kwestie - dokończył adwokat.

- Wątpię, czy przydam się panom na co - odparł Wokulski.- Miałem wprawdzie do czynienia ze zbożem i okowitą, ale w wyjątkowych warunkach. Chodziło o duże ilości i pośpiech, nie o ceny... Nie znam zresztą tutejszego handlu zbożem...

- Będą specjaliści, szanowny panie Wokulski - przerwał mu adwokat. - Oni nam dostarczą szczegółów, które pan

raczysz tylko uporządkować i rozjaśnić z właściwą mu genialnością...

- Prosimy. . bardzo prosimy!... - wołali hrabiowie, a za nimi jeszcze głośniej szlachta nienawidząca magnatów.

Była blisko pląta po południu i zgromadzeni poczęli się rozchodzić. W tej chwili Wokulski spostrzegł, że z dalszych pokojów zbliża się do niego pan Łęcki w towarzystwie młodzieńca, którego już widział obok panny Izabeli podczas kwesty i na święconym u hrabiny. Obaj panowie zatrzymali się przy nim.

- Pozwolisz, panie Wokulski - odezwał się Łęcki - że przedstawię ci pana Juliana Ochockiego. Nasz kuzyn... trochę oryginał, ale...

- Dawno już chciałem poznać się z panem i porozmawiać - rzekł Ochocki ściskając go za rękę.

Wokulski w milczeniu przypatrywał się. Młody człowiek nie dosięgnął jeszcze lat trzydziestu i rzeczywiście odznaczał się niezwykłą fizjognomią. Zdawało się, że ma rysy Napoleona Pierwszego, przysłonięte jakimś obłokiem marzycielstwa.

- W którą stronę pan idzie? - spytał młody człowiek Wokulskiego. - Mogę pana podprowadzić.

- Będzie się pan fatygował...

- O, ja mam dosyć czasu - odpowiedział młody człowiek.

"Czego on chce ode mnie?" - pomyślał Wokulski, a głośno rzekł:- Możemy pójść w stronę Łazienek...

- Owszem - odparł Ochocki. - Wpadnę jeszcze na chwilę pożegnać się z księżną i dogonię pana.

Ledwie odszedł, pochwycił Wokulskiego adwokat.

- Winszuję panu zupełnego triumfu - rzekł półgłosem. - Książę formalnie zakochany w panu, obaj hrabiowie i baron toż samo... Oryginały to są, jak pan widział, ale ludzie dobrych chęci... Chcieliby coś robić, mają nawet rozum i ukształcenie, ale... energii brak!... Choroba woli, panie: cała klasa jest nią dotknięta... Wszystko mają: pieniądze, tytuły, poważanie, nawet powodzenie u kobiet, więc niczego nie pragną. Bez tej zaś sprężyny, panie Wokulski, muszą być narzędziem w ręku ludzi nowych i ambitnych... My, panie, my jeszcze wielu rzeczy pragniemy - dodał ciszej. - Ich szczęście, że trafili na nas...

Ponieważ Wokulski nie odpowiedział nic, więc adwokat począł uważać go za bardzo przebiegłego dyplomatę i żałował w duszy, że sam był zanadto szczery.

"Zresztą - myślał adwokat, patrząc na Wokulskiego spod oka - choćby powtórzył księciu naszą rozmowę, cóż mi zrobi?... Powiem, że chciałem go wybadać..."

"O jakie on mnie ambicje posądza?..." - zapytywał się w duchu Wokulski.

Pożegnał księcia, obiecał przychodzić odtąd na wszystkie sesje i wyszedłszy na ulicę odesłał powóz do domu.

"Czego chce ode mnie ten pan Ochocki? - myślał podejrzliwie.- Naturalnie, że idzie mu o pannę Izabelę... Może ma zamiar odstraszyć mnie od niej?... Głupi... Jeżeli ona go kocha, nie potrzebuje tracić nawet słów; sam się usunę... Ale jeżeli go nie kocha, niech się strzeże usuwać mnie od niej... Zdaje się, że zrobię w życiu jedno kapitalne głupstwo, zapewne dla panny Izabeli. Bodajby nie padło na niego; szkoda chłopaka..."

W bramie rozległo się pośpieszne stąpanie; Wokulski odwrócił się i zobaczył Ochockiego.

- Pan czekał?... przepraszam!... - zawołał młody człowiek.

- Idziemy ku Łazienkom? - spytał Wokulski.

- Owszem.

Jakiś czas szli milcząc. Młody człowiek był zamyślony. Wokulski zirytowany.

Postanowił od razu chwycić byka za rogi.

- Pan jest bliskim kuzynem państwa Łęckich? - zapytał.

- Trochę - odpowiedział młody człowiek. - Matka moja była *aż* Łęcka - rzekł z ironią - ale ojciec tylko Ochocki. To bardzo osłabia związki rodzinne... Pana Tomasza, który jest dla mnie jakimś ciotecznym stryjem, nie znałbym do dziś dnia, gdyby nie stracił majątku.

- Panna Łęcka jest bardzo dystyngowaną osobą - rzekł Wokulski patrząc przed siebie.

- Dystyngowana?... - powtórzył Ochocki. - Powiedz pan: bogini!... Kiedy rozmawiam z nią, zdaje mi się, że potrafiłaby mi zapełnić całe życie. Przy niej jednej czuję spokój i zapominam o trapiącej mnie tęsknocie. Ale cóż!... Ja nie umiałbym siedzieć z nią cały dzień w salonie ani ona ze mną w laboratorium...

Wokulski stanął na ulicy.

- Pan zajmuje się fizyką czy chemią?... - spytał zdziwiony.

- Ach, czym ja się nie zajmuję!... - odparł Ochocki. - Fizyką, chemią i technologią... Przecież skończyłem wydział przyrodniczy

w uniwersytecie i mechaniczny w politechnice... Zajmuję się wszystkim; czytam i pracuję od rana do nocy, ale - nie robię nic. Udało mi się trochę ulepszyć mikroskop, zbudować jakiś nowy stos elektryczny, jakąś tam lampę...

Wokulski zdumiewał się coraz więcej.

- Więc to pan jest tym Ochockim, wynalazcą?...

- Ja - odparł młody człowiek. - No, ale i cóż to znaczy?... Razem nic. Kiedy pomyślę, że w dwudziestym ósmym roku tylko tyle zrobiłem, ogarnia mnie desperacja. Mam ochotę albo porozbijać swoje laboratorium i utonąć w życiu salonowym, do którego mnie ciągną, albo - trzasnąć sobie w łeb... Ogniwo Ochockiego albo - lampa elektryczna Ochockiego... jakież to głupie!... Rwać się gdzieś od dzieciństwa i utknąć na lampie - to okropne... Dobiegać środka życia i nie znaleźć nawet śladu drogi, po której by się iść chciało - cóż to za rozpacz!...

Młody człowiek umilkł, a że byli w Ogrodzie Botanicznym, więc zdjął kapelusz. Wokulski przypatrywał mu się z uwagą i zrobił nowe odkrycie. Młody człowiek, aczkolwiek wyglądał elegancko, nie był wcale elegantem; nawet nie zdawał się troszczyć o swoją powierzchowność.

Miał rozrzucone włosy, nieco zsunięty krawat, u kamizelki guzik nie zapięty. Można było domyślać się, że ktoś bardzo starannie czuwa nad jego bielizną i garderobą, z którą jednak on sam postępuje niedbale, i właśnie to niedbalstwo, przejawiające się w dziwnie szlachetnych formach, nadawało mu oryginalny wdzięk. Każdy jego ruch był mimowolny, rozrzucony, lecz piękny. Równie pięknym był sposób patrzenia, słuchania, a raczej niesłuchania, nawet - gubienia kapelusza.

Weszli na wzgórze, skąd widać studnię zwaną Okraglakiem. Ze wszystkich stron otaczali ich spacerujący, ale Ochocki nie krępował się ich obecnością i wskazawszy kapeluszem jedną z ławek, mówił:

- Dużo czytałem, że szczęśliwy jest człowiek, który ma wielkie aspiracje. To kłamstwo. Ja przecież mam niepowszednie pragnienia, które jednak robią mnie śmiesznym i zrażają do mnie najbliższych. Spojrzyj pan na tę ławkę... Tu, w początkach czerwca, około dziesiątej wieczorem, siedzieliśmy z kuzynką i z panną Florentyną. Świecił jakiś księżyc i nawet jeszcze śpiewały słowiki. Byłem rozmarzony. Nagle kuzynka odzywa się: "Znasz, kuzynie, astronomię?" - "Trochę."- "Więc powiedz mi, jaka to gwiazda?" - "Nie wiem - odpowiedziałem - ale to jest pewne, że nigdy nie dostaniemy się na nią. Człowiek jest przykuty do Ziemi

jak ostryga do skały..." W tej chwili - ciągnął dalej Ochocki - zbudziła się we mnie moja idea czy mój obłęd... Zapomniałem o pięknej kuzynce, a zacząłem myśleć o machinach latających. A ponieważ myśląc, muszę chodzić, więc wstałem z ławki i bez pożegnania opuściłem kuzynkę!... Na drugi dzień panna Flora nazwała mnie impertynentem, pan Łęcki oryginałem, a kuzynka przez tydzień nie chciała ze mną rozmawiać... I żebym jeszcze co wymyślił; ale nic, literalnie nic, choć byłbym przysiągł, że nim z tego pagórka zejdę do studni, urodzi mi się w głowie przynajmniej ogólny szkic machiny latającej... Prawda, jakie to głupie?...

"Więc oni tu przepędzają wieczory przy księżycu i śpiewie słowika?... - pomyślał Wokulski i poczuł straszny ból w sercu. - Panna Izabela już kocha się w Ochockim, a jeżeli się nie kocha, to tylko z winy jego dziwactw... No i ma słuszność... piękny człowiek i niezwykły..."

- Naturalnie - prawił dalej Ochocki - ani słówka nie wspomniałem o tym mojej ciotce, która ile razy bodaj wpina mi jakąś szpilkę w odzienie, ma zwyczaj powtarzać: "Kochany Julku, staraj się podobać Izabeli, bo to żona akurat dla ciebie... Mądra i piękna; ona jedna wyleczyłaby cię z twoich przywidzeń..." A ja myślę: co to za żona dla mnie?... Gdyby chociaż mogła być moim pomocnikiem, jeszcze pół biedy... Ale

gdzieżby ona dla laboratorium mogła opuścić salon!... Ma rację, to jej właściwe otoczenie; ptak potrzebuje powietrza, ryba wody... Ach, jaki piękny wieczór!... - dodał po chwili. - Jestem dziś podniecony jak rzadko. Ale... co panu jest, panie Wokulski?...

- Trochę zmęczyłem się - odparł głucho Wokulski. - Może byśmy siedli, choćby o! tu...

Usiedli na stoku wzgórza, na granicy Łazienek. Ochocki oparł brodę na kolanach i wpadł w zadumę, Wokulski przypatrywał mu się z uczuciem, w którym podziw mieszał się z nienawiścią.

"Głupi czy przebiegły?... Po co on mi to wszystko opowiada?"- myślał Wokulski.

Musiał jednak przyznać, że gadulstwo Ochockiego miało te same cechy szczerości i roztargnienia, jak jego ruchy i cała wreszcie osoba. Spotkali się pierwszy raz i już Ochocki tak z nim rozmawiał, jak gdyby znali się od dzieci.

"Skończę z nim" - rzekł do siebie Wokulski i głęboko odetchnąwszy spytał głośno:

- Zatem żeni się pan, panie Ochocki?...

- Chybabym zwariował - mruknął młody człowiek wzruszając ramionami.

- Jak to?... Przecież kuzynka pańska podoba się panu?

- I nawet bardzo, ale to jeszcze nie wszystko. Ożeniłbym się z nią, gdybym miał pewność, że już nic w nauce nie zrobię...

W sercu Wokulskiego obok nienawiści i podziwu błysnęła radość. W tej chwili Ochocki przetarł czoło jak zbudzony ze snu i patrząc na Wokulskiego nagle rzekł:

- Ale, ale... Nawet zapomniałem, że mam ważny interes do pana...

"Czego on chce?..." - pomyślał Wokulski podziwiając w duszy mądre spojrzenie swego rywala i nagłą zmianę tonu. Zdawało się, że przez jego usta przemówił inny człowiek.

- Chcę zadać panu pytanie... nie... dwa pytania, bardzo poufne, a może nawet drażliwe - mówił Ochocki. - Czy nie obrazi się pan?..

- Słucham - odparł Wokulski.

Gdyby stał na szafocie, nie doznałby tak strasznych wrażeń jak w tej chwili. Był pewny, że chodzi o pannę Izabelę i że w tym samym miejscu zdecydują się jego losy.

- Pan był przyrodnikiem? - spytał Ochocki.

- Tak.

- I w dodatku przyrodnikiem entuzjastą. Wiem, co pan przeszedł, od dawna szanuję pana z tego powodu... To za mało; powiem więcej... Od roku wspomnienie o trudnościach, z jakimi szamotał się pan, dodawało mi otuchy... Mówiłem sobie: zrobię przynajmniej to, co ten człowiek, a ponieważ nie mam takich przeszkód, więc - zajdę dalej od niego...

Wokulski słuchając myślał, że marzy albo że rozmawia z wariatem.

- Skąd pan to wie?... - spytał Ochockiego.

- Od doktora Szumana.

- Ach, od Szumana. Ale do czego to wszystko prowadzi?...

- Zaraz powiem - odparł Ochocki. - Byłeś pan przyrodnikiem entuzjastą i... w rezultacie rzuciłeś pan nauki przyrodnicze. Otóż w którym roku życia osłabnął pański zapał w tym kierunku?...

Wokulski poczuł jakby uderzenie toporem w głowę. Pytanie było tak przykre i niespodziewane, że przez chwilę nie tylko nie umiał odpowiedzieć; ale nawet zebrać myśli.

Ochocki powtórzył, bystro przypatrując się swemu towarzyszowi.

- W którym roku?... - rzekł Wokulski. - W zeszłym roku... Dziś mam czterdziesty szósty rok...

- A zatem ja do kompletnego ochłodzenia się mam jeszcze przeszło piętnaście lat. To mi trochę dodaje odwagi... - rzekł jakby do siebie Ochocki.

I znowu po chwili dodał:

- To jedno pytanie, a teraz drugie, ale - nie obraź się pan. W którym roku życia zaczynają mężczyźnie obojętnieć kobiety?...

Drugi cios. Był moment, że Wokulski chciał schwycić młodzieńca za gardło i udusić. Upamiętał się jednak i odparł ze słabym uśmiechem:

- Myślę, że one nigdy nie obojętnieją... Owszem, coraz wydają się droższymi...

- Źle! - szepnął Ochocki. - Ha, zobaczymy, kto mocniejszy.

- Kobiety, panie Ochocki.

- Jak dla kogo, panie - odpowiedział młody człowiek wpadając znowu w zamyślenie.

I zaczął mówić jakby do siebie.

- Kobiety, ważna rzecz. Kochałem się już, zaraz, ileż to?... Cztery... sześć... ze siedem, tak, siedem razy... Zabiera to dużo czasu

i napędza desperackie myśli... Głupia rzecz, miłość... Poznajesz, kochasz, cierpisz... Potem jesteś znudzony albo zdradzony... Tak, dwa razy byłem znudzony, a pięć razy zdradzony... Potem znajdujesz nową kobietę, doskonalszą od innych - a potem ona robi to samo, co mniej doskonałe... Ach, jakiż podły gatunek zwierząt te baby!... Bawią się nami, choć ograniczony ich mózg nawet nie jest w stanie nas pojąć... No, prawda, że i tygrys może bawić się człowiekiem... Podłe, ale miłe... Mniejsza o nie! A tymczasem gdy raz opanuje człowieka idea, już go nie opuszcza i nie zdradza nigdy...

Położył rękę na ramieniu Wokulskiego i patrząc mu w oczy jakimś rozstrzelonym i rozmarzonym wzrokiem spytał:

- Wszakże pan myślał kiedyś o machinach latających?... Nie o kierowaniu balonami, które są lżejsze od powietrza, bo to błazeństwo, ale - o locie machiny ciężkiej, napełnionej i obwarowanej jak pancernik?... Czy pan rozumie, jaki nastąpiłby przewrót w świecie po podobnym wynalazku?... Nie ma fortec, armii, granic... Znikają narody, lecz za to w nadziemskich budowlach przychodzą na świat istoty podobne do aniołów lub starożytnych bogów... Już ujarzmiliśmy wiatr, ciepło, światło, piorun... Czy więc nie sądzisz pan, że nadeszła pora nam samym wyzwolić się z oków ciężkości?... To idea leżąca dziś

w duchu czasu... Inni już pracują nad nią; mnie ona dopiero nasyca, ale od stóp do głów... Co mnie ciotka z jej radami i prawidłami dobrego tonu!... Co mnie żeniaczka, kobiety, a nawet mikroskopy, stosy i lampy elektryczne?... Oszaleję albo... przypnę ludzkości skrzydła...

- A gdybyś pan je nawet przypiął, to co?... - spytał Wokulski.

- Sława, jakiej nie dosięgnął jeszcze żaden człowiek - odparł Ochocki. - To moja żona, to moja kobieta... Bądź pan zdrów, muszę iść...

Uścisnął Wokulskiemu rękę, zbiegł ze wzgórza i zniknął między drzewami.

Na Ogród Botaniczny i na Łazienki zapadał już mrok.

"Wariat czy geniusz?... - szepnął Wokulski, czując, że sam jest w najwyższym stopniu rozstrojony. - A jeżeli geniusz?..."

Wstał i poszedł w głąb ogrodu, między spacerujących ludzi. Zdawało mu się, że nad pagórkiem, z którego uciekł, unosi się jakaś święta groza.

W Ogrodzie Botanicznym było prawie ciasno; na każdej ulicy tłoczyły się kolumny, gromady, a przynajmniej szeregi spacerujących; każda ławka uginała się pod ciżbą osób. Zastępowano Wokulskiemu

drogę, deptano po piętach, potrącano łokciami; rozmawiano i śmiano się ze wszystkich stron. Wzdłuż Alei Ujazdowskiej, pod murem Belwederskiego ogrodu, pod sztachetami od strony szpitala, na ulicach najmniej uczęszczanych, nawet na zagrodzonych ścieżkach, wszędzie było pełno i wesoło. Im więcej ciemniało w naturze, tym gęściej i hałaśliwiej robiło się między ludźmi.

"Zaczyna mi już braknąć miejsca na świecie!..." - szepnął.

Przeszedł do Łazienek i tu znalazł spokojniejsze ustronie. Na niebie zaiskrzyło się kilka gwiazd, przez powietrze, od Alei, ciągnął szmer przechodniów, a od stawu wilgoć. Czasem nad głową przeleciał mu huczny chrabąszcz albo cicho przemknął nietoperz; w głębi parku kwilił żałośnie jakiś ptak, na próżno wzywający towarzysza; na stawie rozlegał się daleki plusk wioseł i śmiechy młodych kobiet.

Naprzeciw zobaczył parę ludzi pochylonych ku sobie i szepczących. Ustąpili mu z drogi i ukryli się w cieniu drzew. Opanował go żal i szyderstwo.

"Oto są szczęśliwi zakochani! - pomyślał. - Szepczą i uciekają jak złodzieje... Pięknie urządzony świat, co?... Ciekawym, o ile byłoby lepiej, gdyby władał nim Lucyper?...

A gdyby mi zastąpił drogę jaki bandyta i zabił w tym kącie?..."

I wyobrażał sobie, jaki to przyjemny musi być chłód noża wbitego w rozgorączkowane serce.

"Na nieszczęście - westchnął - dziś nie wolno zabijać innych, tylko siebie można; byle od razu i dobrze. No!..."

Wspomnienie o tak niezawodnym środku ucieczki uspokoiło go. Stopniowo pogrążał się w jakimś uroczystym nastroju; zdawało mu się, że nadchodzi moment, w którym powinien zrobić rachunek sumienia czy też ogólny bilans życia.

"Gdybym był najwyższym sędzią - myślał - i gdyby spytano mnie, kto jest wart panny Izabeli: Ochocki czy Wokulski, musiałbym przyznać, że - Ochocki... O osiemnaście lat młodszy ode mnie (osiemnaście lat!...) i taki piękny... W dwudziestym ósmym roku życia skończył dwa fakultety (ja w tym wieku ledwie zaczynałem się uczyć...) i już zrobił trzy wynalazki (ja żadnego!). A nad to wszystko jest naczyniem, w którym wylęga się wielka idea... Dziwaczna to rzecz: machina latająca, ale faktem jest, że on znalazł dla niej genialny i jedynie możliwy punkt wyjścia. Machina latająca musi być cięższa, nie zaś jak balon lżejsza od powietrza; boć wszystko, co prawidłowo lata, począwszy od muchy, skończywszy na

olbrzymim sępie, jest od powietrza cięższe. Ma prawdziwy punkt wyjścia, ma twórczy umysł, czego dowiódł bodajby swoim mikroskopem i lampą; któż wie zatem, czy nie uda mu się zbudować machiny latającej? A w takim razie będzie większym dla ludzkości od Newtona i Napoleona, razem wziętych... I ja mam z nim współzawodniczyć?... A jeżeli stanie kiedy kwestia: który z nas dwu powinien się usunąć, czyliż będę się wahał?... Cóż to za piekło powiedzieć sobie, że muszę moją nicość złożyć na ofiarę człowiekowi ostatecznie takiemu jak ja, śmiertelnemu, ulegającemu chorobom i omyłkom, a nade wszystko - tak naiwnemu... Boć to jeszcze dzieciak, co on mi nie wygadywał?..."

Dziwny traf. Gdy Wokulski był subiektem w sklepie kolonialnym, marzył o perpetuum mobile, machinie, która by się sama poruszała. Gdy zaś wstąpiwszy do Szkoły Przygotowawczej poznał, że taka machina jest niedorzecznością, wówczas najtajniejszym i najulubieńszym jego pragnieniem było - wynaleźć sposób kierowania balonami. To, co dla Wokulskiego było tylko fantastycznym cieniem, błąkającym się po fałszywych drogach, w Ochockim przybrało już formę praktycznego zagadnienia.

"Cóż to za okrucieństwo losów! - myślał z goryczą. - Dwom ludziom dano prawie te same aspiracje, tylko jeden urodził się o

osiemnaście lat wcześniej, drugi później; jeden w nędzy, drugi w dostatku; jeden nie mógł wdrapać się na pierwsze piętro wiedzy, drugi lekkim krokiem przeszedł dwa piętra... Jego nie zepchną z drogi burze polityczne, tak jak mnie; jemu nie przeszkodzi miłość, którą traktuje jak zabawkę; podczas gdy dla mnie, który sześć lat spędziłem na pustyni, uczucie to jest niebem i zbawieniem... Więcej nawet!... No i on triumfuje nade mną na każdym polu, choć przecież ja mam te same uczucia, tę samą świadomość położenia, a pracę z pewnością większą...

Wokulski dobrze znał ludzi i często porównywał się z nimi. Lecz gdziekolwiek był, wszędzie widział się trochę lepszym od innych. Czy jako subiekt, który spędzał noce nad książką, czy jako student, który przez nędzę szedł do wiedzy, czy jako żołnierz pod deszczem kul, czy jako wygnaniec, który w śniegiem zasypanej lepiance pracował nad nauką - zawsze miał w duszy ideę sięgającą poza kilka lat naprzód.- Inni żyli z dnia na dzień, dla swego żołądka albo kieszeni.

I dopiero dziś spotkał człowieka wyższego od siebie, wariata, który chce budować machiny latające!...

"A ja czy dzisiaj nie mam idei, dla której pracuję przeszło rok, zdobyłem majątek,

pomagam ludziom i zmuszam ich do szacunku?..."

"Tak, ale miłość to uczucie osobiste; wszystkie zasługi towarzyszące jej są jak ryby zaplątane w odmęt morskiego cyklonu. Gdyby na świecie zniknęła jedna kobieta, a w tobie pamięć o niej, czymże byś został?... Zwyczajnym kapitalistą, który z nudów grywa w karty w resursie. A tymczasem Ochocki ma ideę, która będzie rwała go zawsze naprzód, chyba że umysł mu zagaśnie..."

"Dobrze, a jeżeli on nic nie zrobi i zamiast zbudować machinę latającą pójdzie do szpitala wariatów?... Ja tymczasem faktycznie coś zrobię, a mikroskop, stos czy nawet lampa elektryczna z pewnością nie znaczą więcej od setek ludzi, którym ja daję byt. Skądże więc we mnie ta ultrachrześcijańska pokora?... Co kto zrobi, jeszcze nie wiadomo. Ja tymczasem jestem dziś człowiek czynu, a on marzyciel... Zaczekajmy z rok..."

Rok! Wokulski wstrząsnął się. Zdawało mu się, że w końcu drogi nazwanej rokiem widzi tylko niezmierną otchłań, która pochłania wszystko, ale nie mieści w sobie nic...

"Więc nic?... nic!...

Instynktownie rozejrzał się. Był w głębi Łazienkowskiego parku, na jakiejś ulicy, do której żaden szmer nie dolatywał. Nawet gęstwina ogromnych drzew stała cicho.

- Która godzina? - zapytał go nagle jakiś głos zachrypnięty.

- Godzina?...

Wokulski przetarł oczy. Przed nim, z mroku, wynurzył się obdarty człowiek.

- Kiedy grzecznie pytają, to trzeba grzecznie odpowiadać - rzekł człowiek i podszedł bliżej.

- Zabij mnie, to sam zobaczysz - odparł Wokulski.

Obdarty człowiek cofnął się. Na lewo od drogi widać było parę ludzkich cieni.

- Głupcy! - zawołał Wokulski idąc naprzód - mam złoty zegarek i kilkaset rubli gotówką... Bronić się nie będę, no!...

Cienie usunęły się między drzewa i któryś rzekł zniżonym głosem:

- Taki to, psiakrew, zejdzie, gdzie go nie posieją...

- Bydlęta!... tchórze!... - krzyczał Wokulski prawie nieprzytomny.

Odpowiedział mu tętent uciekających.

Wokulski zebrał myśli.

"Gdzie ja jestem?... Jużci, w Łazienkach, ale w którym miejscu?...Trzeba iść w drugą stronę".

Obrócił się parę razy i już nie wiedział, dokąd idzie. Serce zaczęło mu bić gwałtownie, zimny pot wystąpił na czoło, pierwszy raz w życiu uczuł obawę nocy i zbłąkania...

Przez parę minut biegł bez celu, prawie bez tchu; dzikie myśli wirowały mu w głowie. Wreszcie na lewo zobaczył mur, a dalej budynek.

"Aha, Pomarańczarnia..."

Potem doszedł do jakiegoś mostka, odpoczął i oparłszy się na barierze myślał :

"Więc do tego doszedłem?... Niebezpieczny rywal... rozbite nerwy... Zdaje mi się, że już dziś mógłbym napisać ostatni akt tej komedii!..."

Prosta droga doprowadziła go do stawu, później do łazienkowskiego pałacu. We dwadzieścia minut był w Alejach Ujazdowskich i siadł w przejeżdżającą dorożkę; w kwadrans później znalazł się we własnym mieszkaniu.

Na widok świateł i ulicznego ruchu odzyskał wesołość; nawet uśmiechał się i szeptał:

"Cóż znowu za przywidzenia?... Jakiś Ochocki... samobójstwo!... Ach, głupota... Dostałem się przecież między arystokrację, a co będzie dalej - zobaczymy..."

Gdy wszedł do gabinetu, służący oddał mu list pisany na jego własnym papierze przez panią Meliton.

- Ta pani była tu dziś dwa raży - rzekł wierny sługa. - Raż o piąty, drugi raz o ószmy...

*

Tom I
Rozdział XIV
Dziewicze marzenia

Od Wielkiejnocy panna Izabela często myślała o Wokulskim, a we wszystkich medytacjach uderzał ją niezwykły szczegół: człowiek ten przedstawiał się coraz inaczej.

Panna Izabela miała dużo znajomości i niemały spryt do charakteryzowania ludzi. Otóż każdy z jej dotychczasowych znajo-

mych posiadał tę własność, że można go było streścić w jednym zdaniu. Książę był to patriota, jego adwokat - bardzo zręczny, hrabia Liciński pozował na Anglika, jej ciotka była dumną, prezesowa - dobrą, Ochocki - dziwakiem, a Krzeszowski - karciarzem. Słowem: człowiek - była to jakaś zaleta albo wada, niekiedy zasługa, najczęściej tytuł lub majątek, który miał głowę, ręce i nogi i ubierał się więcej albo mniej modnie.

Dopiero w Wokulskim poznała nie tylko nową osobistość, ale niespodziewane zjawisko. Jego niepodobna było określić jednym wyrazem, a nawet stoma zdaniami. Nie był też do nikogo podobny, a jeżeli w ogóle można go było z czymś porównywać, to chyba z jakąś okolicą, przez którą jedzie się cały dzień i gdzie spotyka się równiny i góry, lasy i łąki, wody i pustynie, wsie i miasta. I gdzie jeszcze, spoza mgieł horyzontu, wynurzają się jakieś niejasne widoki, już niepodobne do żadnej rzeczy znanej. Ogarniało ją zdumienie i pytała się: czy to jest gra podnieconej imaginacji, czy naprawdę istota nadludzka, a przynajmniej - poza salonowa?

Wtedy zaczęła sobie rejestrować doznane wrażenia.

Pierwszy raz - wcale go nie widziała, czuła tylko zbliżający się jakiś ogromny cień.

Był ktoś, który rzucił parę tysięcy rubli na dobroczynność i na ochronę jej ciotki; potem ktoś grał z jej ojcem w karty w resursie i co dzień przegrywał; potem ktoś, który wykupił weksle jej ojca (może to nie Wokulski?...), następnie jej serwis, a następnie dostarczył różnych rzeczy do przyozdobienia grobu Pańskiego.

Ten ktoś był to zuchwały dorobkiewicz, który od roku ścigał ją spojrzeniami w teatrach i na koncertach. Był to cyniczny brutal, który dorobił się majątku na podejrzanych spekulacjach po to, ażeby kupić sobie reputację u ludzi, a ją, pannę Izabelę Łęcką, u jej ojca!...

Z tej epoki pamiętała tylko jego grubo ciosaną figurę, czerwone ręce i szorstkie obejście, które obok grzeczności innych kupców wydawało się nieznośnym, a na tle wachlarzy, sakwojażów, parasoli, lasek i tym podobnych galanteryj - po prostu śmieszne. Był to przebiegły i bezczelny kupczyk, który w swoim sklepie pozował na upadłego ministra. Był wstrętny, nawet śmiertelnie nienawistny, gdyż poważył się udzielać im zasiłki w formie kupna serwisu albo przegranych w karty do ojca.

Dziś jeszcze myśląc o tym, panna Izabela szarpała na sobie suknię. Niekiedy rzuciwszy się na szezlong biła pięściami sprężyny i szeptała:

- Nikczemnik!... nikczemnik!...

Sam widok niedoli, w jaką staczał się jej dom, już napełniał ją rozpaczą. A cóż dopiero, gdy ktoś wdarł się za zasłonę jej najskrytszych tajemnic i śmiał opatrywać rany, które ukryłaby przed samym Bogiem. Wszystko mogłaby przebaczyć, oprócz tego ciosu, jaki zadano jej dumie.

Tu zaszła zmiana dekoracji. Wystąpił inny człowiek, który bez cienia dwuznacznej myśli powiedział jej w oczy, że kupił serwis, żeby zrobić na nim interes. A zatem on czuł, że panny Izabeli Łęckiej wspierać nie wolno, i gdyby to nawet zrobił, nie tylko nie szukałby rozgłosu albo wdzięczności, ale nawet - nie śmiałby myśleć o tym.

Ten sam człowiek wypędził ze sklepu Mraczewskiego, który poważył się złośliwie o niej mówić. Na próżno wrogowie panny Izabeli, baron i baronowa Krzeszowscy, wstawiali się za tym młodzieńcem; na próżno odezwała się za nim hrabina ciotka, która rzadko dziękowała, a jeszcze rzadziej prosiła. Wokulski nie ustąpił... Lecz jedno słówko jej, panny Izabeli, pokonało nieugiętego człowieka; nie tylko cofnął się, ale nawet dał Mraczewskiemu lepszą posadę. Nie robi się takich ustępstw dla kobiety, której się nie czci.

Szkoda tylko, że prawie w tej samej chwili w jej czcicielu odezwał się pyszny

dorobkiewicz, który na kwestyjną tacę rzucił rulon półimperiałów. Ach, jakież to było kupieckie!... I jak on nic nie rozumie po angielsku, nie ma wyobrażenia o języku, który jest modnym!...

Trzecia faza. Zobaczyła Wokulskiego w salonie ciotki w pierwszy dzień Wielkiejnocy i spostrzegła, że on o całą głowę przerasta towarzystwo. Najarystokratyczniejsi ludzie ubiegali się o znajomość z nim, a on, ten brutalny parweniusz, odrzynał się od nich jak ogień od dymu. Chodził niezręcznie, ale śmiało, jakby salon ten był jego niezaprzeczoną własnością i posępnie słuchał komplimentów, którymi go zasypywano. Potem wezwała go do siebie najczcigodniejsza z matron, prezesowa, i po kilku minutach rozmowy z nim rzewnie zapłakała... Czyżby ten z czerwonymi rękoma parweniusz?...

Teraz dopiero spostrzegła panna Izabela, że Wokulski ma twarz niepospolitą. Rysy wyraziste i stanowcze, włos jakby najeżony gniewem, mały wąs, ślad bródki, kształty posągowe, wejrzenie jasne i przejmujące... Gdyby ten człowiek zamiast sklepu posiadał duże dobra ziemskie - byłby bardzo przystojnym; gdyby urodził się księciem - byłby imponująco piękny. W każdym razie przypominał Trostiego, pułkownika strzelców, i - naprawdę - posąg gladiatora zwycięzcy.

W tym czasie od panny Izabeli odsunęli się prawie wszyscy.

Wprawdzie starsi panowie jeszcze obsypywali ją grzecznościami z powodu piękności i elegancji, za to młodzi, szczególnie utytułowani lub majętni, traktowali ją chłodno a krótko; gdy zaś, zmęczona samotnością i banalnymi frazesami, nieco żywiej odezwała się do którego, patrzył na nią z wyraźnym przestrachem jakby lękając się, że ona chwyci go za szyję i natychmiast pociągnie do ołtarza.

Świat salonów kochała panna Izabela na śmierć i życie, wyjść z niego mogła tylko do grobu, ale z każdym rokiem, a nawet miesiącem, mocniej gardziła ludźmi; pojąć nie mogła, ażeby kobietę, tak jak ona piękną, dobrą i dobrze wychowaną, świat opuszczał dlatego tylko, że nie ma majątku!.,.

"Cóż to za ludzie, Boże miłosierny!..." - szeptała nieraz, patrząc spoza firanek na przejeżdżające powozy elegantów, którzy pod rozmaitymi pozorami odwracali głowę od jej okien, ażeby się nie kłaniać. Czyżby sądzili, że ona wygląda ich?...

A przecież istotnie ona do nich wyglądała!... Wówczas gorące łzy napływały jej do oczu; gryzła z gniewu piękne usta i szarpiąc taśmy zasłaniała okna firankami.

"Cóż to za ludzie!... Cóż to za ludzie!..." - powtarzała, wstydząc się jednak sama przed sobą rzucić na nich jakiś ostrzejszy epitet, gdyż należeli do świata. Nikczemnikiem, według jej wyobrażeń, można było nazwać tylko Wokulskiego.

Na domiar szyderstwa losu z całej niegdyś falangi zostało jej tylko dwu wielbicieli. Ochockim nie łudziła się: on więcej zajmował się jakąś latającą maszyną (co za obłęd!) aniżeli nią. Za to asystowali jej, zresztą nie narzucając się zbytecznie, marszałek i baron. Marszałek nasuwał jej na myśl zabitego i oparzonego wieprza, jakie czasem spotykała w rzeźniczych furgonach na ulicy; baron znowu wydawał się jej podobnym do niewyprawionej skóry, których całe stosy można widywać na wozach. Obaj stanowili dziś ostatnie jej otoczenie, nawet skrzydła, jeżeli jak mówiono, była naprawdę aniołem!... Okropna kombinacja dwu tych starców prześladowała pannę Izabelę dniem i nocą. Czasem zdawało się jej, że jest potępiona i że już za życia rozpoczęło się dla niej piekło.

W podobnych chwilach jak topielec, który zwraca oczy do światła na dalekim brzegu, panna Izabela myślała o Wokulskim. I w bezmiarze goryczy doznawała cienia ulgi wiedząc, że jednak szaleje za nią człowiek niepospolity, o którym dużo mówiono w towarzystwie. Wtedy przycho-

dzili jej na myśl sławni podróżnicy albo zbogaceni przemysłowcy amerykańscy, którzy przez szereg lat ciężko pracowali w kopalniach, a których od czasu do czasu z daleka pokazywano jej na paryskich salonach.

"Widzi pani tego - szczebiotała jakaś hrabianka, niedawno wypuszczona z klasztoru, pochylając wachlarz w pewnym kierunku - widzi pani tego pana, który wygląda, na woźnicę omnibusów... To podobno jakiś wielki człowiek, który coś odkrył, tylko nie wiem co: kopalnię złota czy też biegun północny... Nawet nie pamiętam, jak się nazywa, ale zapewnił mnie jeden margrabia z akademii, że ten pan mieszkał dziesięć lat pod biegunem, nie... mieszkał pod ziemią... Okropny człowiek!... Ja będąc na jego miejscu umarłabym z samego strachu... A pani czy także by umarła?...

Gdyby Wokulski był takim podróżnikiem, a przynajmniej górnikiem, który zrobił miliony, dziesięć lat mieszkając pod ziemią!... Ale on był tylko kupcem, w dodatku - galanteryjnym!... Nie umiał nawet po angielsku, co chwilę odzywał się w nim dorobkiewicz, który w młodym wieku restauracyjnym gościom przynosił jedzenie z kuchni. Taki człowiek, co najwyżej, mógł by być dobrym doradcą, nawet nieocenionym przyjacielem (w gabinecie, gdy nie ma gości). Nawet...

mężem, boć spotykają ludzi straszne nieszczęścia. Ale kochankiem... No, to byłoby po prostu śmieszne... W razie potrzeby najarystokratyczniejsze damy kąpią się w błotnych wannach; lecz bawić się w błocie mógłby tylko szaleniec.

Czwarta faza. Panna Izabela kilka razy spotkała Wokulskiego w Łazienkach i nawet raczyła odpowiadać na jego ukłony. Między zielonymi drzewami i obok posągów grubianin ten wydał jej się znowu innym aniżeli za kontuarem sklepu. Gdybyż on miał dobra ziemskie, z parkiem, pałacem, sadzawką?... Prawda, że dorobkiewicz, ale podobno szlachcic, synowiec oficera... Przy marszałku i baronie wygląda jak Apollo, arystokracja coraz więcej mówi o nim, a ten wybuch łez prezesowej?...

Nadto prezesowa w oczywisty sposób popierała Wokulskiego u swojej przyjaciółki hrabiny i jej siostrzenicy, panny Izabeli. Parogodzinne spacery z ciotką po Łazienkach były tak nudne, a pogadanki o modach, ochronach i projektowanych w świecie małżeństwach tak dokuczliwe, iż panna Izabela miała nawet trochę żalu do Wokulskiego, że nie zbliża się do nich w czasie spaceru i choć z kwadrans nie porozmawia. Dla osoby z towarzystwa ciekawą jest rozmowa z tego rodzaju ludźmi, a pannie Izabeli chłopi na przykład

wydawali się nawet zabawnymi swym odrębnym językiem i logiką.

Chociaż kupiec galanteryjny, a do tego jeżdżący własnym powozem, nie musi być tak zabawny jak chłop...

Bądź co bądź panna Izabela nie doznała przykrej niespodzianki usłyszawszy pewnego dnia od prezesowej, że pojedzie z nią i z hrabiną do Łazienek i - że zatrzyma Wokulskiego.

- Nudzimy się, niech więc nas bawi - mówiła staruszka.

Gdy zaś około pierwszej wjeżdżając do łazienkowskiego parku prezesowa ze znaczącym uśmiechem rzekła do panny Izabeli:

- Mam przeczucie, że go tu gdzieś spotkamy...

Panna Izabela lekko zarumieniła się i postanowiła wcale nie rozmawiać z Wokulskim, a przynajmniej traktować go z góry, ażeby sobie nic nie wyobrażał. O miłości, naturalnie, w owym "wyobrażaniu sobie" mowy być nie mogło. Panna Izabela jednak nie życzyła sobie nawet poufałej życzliwości.

"I ogień jest przyjemny, szczególnie w zimie - myślała - ale... w pewnym oddaleniu."

Tymczasem Wokulskiego nie było w Łazienkach.

"Jak to, on nie czekał? - mówiła do siebie panna Izabela - chyba jest chory..."

Nie sądziła, ażeby Wokulski miał jakiś pilniejszy interes na świecie aniżeli widzenie się z nią; gdyby się zaś spóźnił, postanowiła nie tylko traktować go z góry, ale nawet okazać mu niezadowolenie.

"Jeżeli punktualność - mówiła sobie dalej - jest grzecznością królów, to już co najmniej powinna być obowiązkiem kupców!.. "

Upłynęło pół godziny, godzina, dwie - należało wracać do domu, a Wokulski nie przychodził ; nareszcie panie wsiadły do karety: hrabina zimna jak zwykle, prezesowa nieco roztargniona, a panna Izabela rozgniewana. Oburzenie nie zmniejszyło się, gdy wieczorem ojciec powiedział jej, że od południa był na sesji u księcia, gdzie Wokulski przedstawił projekt olbrzymiej spółki handlowej i w zblazowanych magnatach obudził formalny zapał.

- Od dawna przeczuwałem - zakończył pan Łęcki - że przy pomocy tego człowieka uwolnię się od troskliwości mojej familii i znowu stanę, jak powinienem!

- Ale do spółki, ojcze, potrzeba pieniędzy - odparła panna Izabela lekko wzruszając ramionami.

- Dlatego też pozwalam sprzedać naszą kamienicę; wprawdzie długi pochłoną ze sześćdziesiąt tysięcy rubli, ale zawsze zostanie mi jeszcze - co najmniej - czterdzieści.

- Ciotka mówiła, że za kamienicę nikt nie da więcej nad sześćdziesiąt...

- Ach, ciotka!... - oburzył się pan Tomasz. - Ona zawsze mówi to, co mogłoby mnie zmartwić albo poniżyć. Sześćdziesiąt tysięcy daje Krzeszowska, która utopiłaby nas w łyżce wody... mieszczanka!... Ale rozumie się, ciotka jej potakuje, bo tu chodzi o mój dom, o moje stanowisko...

Zarumienił się i zaczął sapać; lecz nie chcąc gniewać się przy córce, pocałował ją w czoło i poszedł do swego gabinetu.

"A może ojciec ma rację?... - myślała panna Izabela. - Może on naprawdę jest praktyczniejszy od wszystkich, którzy go tak surowo sądzą? Przecież ojciec pierwszy poznał się na tym... Wokulskim...

A jednak cóż za gbur z tego człowieka. Nie przyszedł do Łazienek, choć prezesowa z pewnością musiała go zaangażować. Zresztą może i lepiej: pięknie byśmy

wyglądały, gdyby spotkał nas kto znajomy na spacerze z kupcem galanteryjnym!"

Przez parę dni następnych panna Izabela słyszała tylko o Wokulskim. Salony rozbrzmiewały jego nazwiskiem. Marszałek przysięgał, że Wokulski musi pochodzić ze starożytnego rodu, a baron, znawca męskiej piękności (po pół dnia spędzał przed lustrem), twierdził, że Wokulski jest - "wcale... wcale..." Hrabia Sanocki zakładał się, że jest to pierwszy rozumny człowiek w kraju - hrabia Liciński głosił, że ten kupiec wzorował się na angielskich przemysłowcach, a książę - tylko zacierał ręce i uśmiechając się mówił: "Aha?..."

Nawet Ochocki, odwiedziwszy któregoś dnia pannę Izabelę, opowiedział jej, że byli z Wokulskim na spacerze w Łazienkach.

- O czymżeście rozmawiali?... - zapytała zdziwiona. - Bo chyba nie o machinach latających...

- Bah! - odmruknął zamyślony kuzynek. - Wokulski jest chyba jedynym człowiekiem w Warszawie, z którym można o tym mówić. To numer...

"Jedyny rozumny... jedyny kupiec... jedyny, który może dogadać się z Ochockim?.. - myślała panna Izabela. - Czymże jest naprawdę ten człowiek?... Ach! już wiem..."

Zdawało jej się, że odgadła Wokulskiego. Jest to ambitny spekulant, który chcąc wedrzeć się do salonów pomyślał o ożenieniu się z nią, zubożałą panną znakomitego rodu. Nie w innym też celu skarbił sobie względy jej ojca, hrabiny ciotki i całej arystokracji. Przekonawszy się jednak, że i bez niej wciśnie się między wielkich panów, nagle ostygnął w miłości i... nawet nie przyszedł do Łazienek!...

"Winszuję mu - mówiła sobie. - Ma wszystkie zalety potrzebne do zrobienia kariery: niebrzydki, zdolny, energiczny, a nade wszystko bezczelny i nikczemny... Jak on śmiał udawać zakochanego we mnie i z jaką łatwością... Doprawdy, że ci parweniusze zdystansują nas nawet w obłudzie... Cóż to za nędznik!..."

Oburzona chciała zapowiedzieć Mikołajowi, ażeby nigdy nie wpuścił Wokulskiego za próg salonu... Najwyżej do gabinetu pana, gdyby do nich przyszedł z interesem. Lecz przypomniawszy sobie, że Wokulski wcale nie zapraszał się do nich, zarumieniła się ze wstydu.

Wtem dowiedziała się od pani Meliton o nowym zatargu barona Krzeszowskiego z żoną i o tym, że baronowa kupiła od niego klacz za osiemset rubli, ale - że pewnie ją zwróci, gdyż za kilka dni ma odbyć się wyścig, a baron porobił duże zakłady.

- Może nawet państwo baronowie pogodzą się przy tej okazji zauważyła pani Meliton.

- Ach, cóż bym dała za to, ażeby baron nie dostał klaczy i przegrał zakłady!.. - zawołała panna Izabela.

W parę zaś dni dowiedziała się pod wielkim sekretem od panny Florentyny, że baron nie odzyska swojej klaczy, gdyż kupił ją Wokulski...

Tajemnica była jeszcze tak zachowywaną, że kiedy panna Izabela poszła z wizytą do ciotki, zastała hrabinę i prezesową naradzające się nad pogodzeniem państwa Krzeszowskich za pomocą owej klaczy.

- Nic z tego nie będzie - wtrąciła ze śmiechem panna Izabela.- Baron nie dostanie swojej klaczy.

- Może założysz się? - spytała chłodno hrabina.

- Owszem, jeżeli wygram od cioci tę bransoletę z szafirów...

Zakład stanął, dzięki czemu hrabina i panna Izabela były wysoce zainteresowane w wyścigach.

Przez chwilę panna Izabela lękała się: powiedziano jej, że baron daje Wokulskiemu czterysta rubli odstępnego i że hrabia Liciński podjął się między nimi

pośrednictwa. Nawet szeptano w salonie hrabiny, że Wokulski nie dla pieniędzy, ale dla hrabiego musi zgodzić się na ten układ. A wówczas panna Izabela pomyślała:

"Zgodzi się, jeżeli jest chciwym parweniuszem, ale nie zgodzi się, jeżeli..."

Nie śmiała dokończyć frazesu. Wyręczył ją Wokulski. Nie sprzedał klaczy i sam puścił ją w szranki.

"On jednakże nie jest tak nikczemnym" - rzekła do siebie.

I pod wpływem tej idei rozmawiała z Wokulskim na wyścigach bardzo łaskawie.

Jednakże nawet za ten drobny objaw życzliwości panna Izabela robiła sobie w duchu wymówki:

"Po co on ma wiedzieć, że nas interesuje jego wyścig?.., Nie więcej od innych. A po co ja mu powiedziałam, że <<musi wygrać...>>? Albo co znaczyła jego odpowiedź: <<wygram, jeżeli pani zechce...>>? On już zapomina, kim jest. Ale mniejsza, jeżeli za parę grzecznych słówek Krzeszowski rozchoruje się ze złości."

Krzeszowskiego nienawidziła panna Izabela. Kiedyś umizgał się do niej, a odtrącony, mścił się. Wiedziała, że nazywał ją za oczy - starzejącą się panną,

która wyjdzie za swego lokaja. Tego było dosyć, ażeby pamiętać mu całe życie. Lecz baron, nie poprzestając na nieszczęsnym frazesie, nawet wobec niej zachowywał się cynicznie, drwiąc z jej starych wielbicieli i robiąc aluzje do ich majątkowej ruiny. Że zaś i panna Izabela od niechcenia przypominała mu jego żonę, mieszczankę, z którą połączył się dla pieniędzy, a nic od niej nie mógł wydobyć, więc toczyła się między nimi walka ostra, czasami nawet przykra.

Dzień wyścigów był dla panny Izabeli triumfem, dla barona - klęską i wstydem. Wprawdzie przyjechał na plac i udawał bardzo wesołego, ale w sercu kipiał mu gniew. Gdy zaś jeszcze zobaczył, że Wokulski nagrodę i cenę konia złożył na ręce panny Izabeli, stracił władzę nad sobą i przybiegłszy do powozu zrobił skandal.

Dla panny Izabeli impertynenckie spojrzenia barona i otwarte nazwanie Wokulskiego jej wielbicielem były strasznym ciosem. Zabiłaby barona, gdyby to uchodziło dobrze wychowanym kobietom. Cierpienie jej było tym dokuczliwsze, że hrabina słuchała jego wybuchu spokojnie, prezesowa z zakłopotaniem, a ojciec nie odzywał się nawet, od dawna uważając Krzeszowskiego za wariata, którego należy nie drażnić, ale traktować pobłażliwie.

W takiej chwili (kiedy już zaczęto spoglądać na nich z innych powozów) przyszedł pannie Izabeli na pomoc Wokulski. I nie tylko przerwał baronowi tok jego niezadowoleń, ale wyzwał go na pojedynek. O tym żadne z nich nie wątpiło; prezesowa wprost zlękła się o swego faworyta, a hrabina zrobiła uwagę, że Wokulski nie mógł postąpić inaczej, ponieważ baron zbliżając się do powozu potrącił go i nie przeprosił.

- Więc sami powiedzcie - mówiła wzruszonym głosem prezesowa - czy godzi się pojedynkować o taką drobnostkę? Wszyscy przecież wiemy, że Krzeszowski jest roztargniony i półgłówek... Najlepszy dowód w tym, co nam nagadał...

- To prawda - odezwał się pan Tomasz - ależ Wokulski nie ma obowiązku wiedzieć o tym, a upomnieć się musiał.

- Pogodzą się! - wtrąciła niedbale hrabina i kazała jechać do domu.

Wtedy to panna Izabela dopuściła się najgorszego wykroczenia przeciw swoim pojęciom i... w znaczący sposób ścisnęła Wokulskiego za rękę.

Już dojeżdżając do rogatek, nie mogła sobie tego darować.

"Jak można było zrobić coś podobnego?... Co sobie taki człowiek pomyśli?..." - mówiła

w duchu. Ale wnet ocknęło się w niej uczucie sprawiedliwości i musiała przyznać, że ten człowiek nie jest byle jakim.

"Ażeby zrobić mi przyjemność (bo z pewnością nie miał innych powodów), podstawił baronowi nogę kupując konia... Całą wygraną (stanowczy dowód bezinteresowności) złożył na ochronę, i to na moje ręce (baron widział to). A nade wszystko, jakby odgadując moje myśli, wyzwał go na pojedynek... No, dzisiejsze pojedynki kończą się zwykle szampanem; ale zawsze baron przekona się, że jeszcze nie jestem tak starą... Nie, w tym Wokulskim jest coś... Szkoda tylko, że jest galanteryjnym kupcem. Przyjemnie byłoby mieć takiego wielbiciela, gdyby... gdyby zajmował inne stanowisko w świecie."

Wróciwszy do domu, panna Izabela opowiedziała pannie Florentynie o wyścigowych przygodach, a w godzinę - już nie myślała o nich. Gdy zaś ojciec późno w nocy doniósł jej, że Krzeszowski wybrał na sekundanta hrabiego Licińskiego, który bezwarunkowo żąda, ażeby Wokulski został przeproszony przez barona, panna Izabela zrobiła pogardliwy grymas ustami.

"Szczęśliwy człowiek! - myślała. - Mnie obrażają, a jego będą przepraszać. Ja, gdyby ktoś przy mnie obraził ukochaną, nie pozwoliłabym się przeprosić. On, naturalnie, zgodzi się..."

Gdy już położyła się do łóżka i zaczęła usypiać, nagle przyszła jej nowa myśl:

"A jeżeli Wokulski nie zechce przeprosin?... Przecież ten sam hrabia Liciński układał się z nim o klacz i nic nie wskórał!... Ach, Boże, co też mi się snuje po głowie" - odpowiedziała sobie wzruszając ramionami i zasnęła.

Na drugi dzień do południa ojciec, ona i panna Florentyna byli pewni, że Wokulski pogodzi się z baronem i że nawet inaczej nie wypada mu postąpić. Dopiero po południu pan Tomasz wyszedł na miasto i wrócił na obiad bardzo zakłopotany.

- Cóż to, ojcze? - spytała go panna Izabela, uderzona wyrazem jego twarzy.

- Fatalna historia! - odparł pan Tomasz rzucając się na skórzany fotel. - Wokulski odrzucił przeproszenie, a jego sekundanci postawili ostre warunki.

- I kiedyż to?... - spytała ciszej.

- Jutro przed dziewiątą - odpowiedział pan Tomasz i otarł pot z czoła. - Fatalna historia - ciągnął dalej. - Między naszymi wspólnikami popłoch, bo Krzeszowski strzela doskonale... Gdyby zaś ten człowiek zginął, wszystkie moje rachuby na nic. Straciłbym w nim prawą rękę... jedynego możliwego wykonawcę moich planów... Jemu jednemu powierzyłbym kapitały

i jestem pewny, że miałbym co najmniej osiem tysięcy rubli rocznie... Los prześladuje mnie nie na żarty!...

Zły humor pana domu źle oddziałał na innych; obiadu nikt nie jadł. Po obiedzie pan Tomasz zamknął się w gabinecie i chodził wielkimi krokami, co było dowodem niezwykłego wzruszenia.

Panna Izabela także poszła do swego gabinetu i jak zwykle w chwilach zdenerwowania położyła się na szezlongu. Opanowały ją posępne myśli.

"Krótko trwał mój triumf - mówiła sobie. - Krzeszowski naprawdę dobrze strzela... Jeżeli zabije jedynego człowieka, który dziś ujmuje się za mną, to co? Pojedynek jest istotnie barbarzyńskim zabytkiem. Bo Wokulski (biorąc go ze strony moralnej) więcej jest wart od Krzeszowskiego, a jednak... może zginąć!... Ostatni człowiek, w którym pokładał nadzieję mój ojciec."

Tu odezwała się w pannie Izabeli rodowa pycha.

"No - mój ojciec nie potrzebuje przecież łaski Wokulskiego; powierzyłby mu swój kapitał, otoczyłby go protekcją, a on płaciłby mu procenta; w każdym razie szkoda go..."

Przyszedł jej na myśl stary rządca ich niegdyś majątku, który służył u nich

trzydzieści lat i którego bardzo lubiła, bardzo mu ufała; może Wokulski obojgu im zastąpiłby nieboszczyka, a jej rozsądnego powiernika i - zginie!...

Jakiś czas leżała z zamkniętymi oczyma nie myśląc o niczym; potem przyszły jej do głowy niesłychanie dziwne kombinacje.

"Co za szczególny traf! - mówiła w sobie. - Jutro walczyć będą z jej powodu dwaj ludzie, którzy ją śmiertelnie obrazili: Krzeszowski złośliwymi drwinami, Wokulski - ofiarami, jakie ośmielił się ponosić dla niej. Ona mu już prawie przebaczyła i kupno serwisu, i owe weksle, i owe przegrane w karty do ojca, z których przez parę tygodni utrzymywał się cały dom... (Nie, jeszcze mu nie przebaczyła i nie przebaczy nigdy!...) Ale choćby nawet, to jednak - za jej obrazę ujęła się sprawiedliwość boska... I kto jutro zginie?... Może obaj. W każdym razie ten, który poważył się pannie Izabeli Łęckiej ofiarować pomoc pieniężną. Człowiek taki, jak kochanek Kleopatry, żyć nie może..."

Tak myślała zanosząc się od płaczu; żal jej było oddanego sługi, a może powiernika; ale korzyła się przed wyrokami Opatrzności, która nie przebacza obrazy wyrządzonej pannie Łęckiej.

Gdyby Wokulski mógł w tej chwili zajrzeć w jej duszę, uciekłby z przestrachem i uleczyłby się ze swego obłędu.

Swoją drogą panna Izabela nie spała przez całą noc. Ciągle stał jej przed oczyma obraz jakiegoś francuskiego malarza przedstawiający pojedynek. Pod grupą zielonych drzew dwaj czarno ubrani mężczyźni mierzyli do siebie z pistoletów.

Potem (czego już nie było na obrazie) jeden z nich padł uderzony kulą w głowę. Był to Wokulski. Panna Izabela nawet nie poszła na jego pogrzeb nie chcąc zdradzić się ze wzruszeniem. Ale w nocy parę razy płakała. Żal jej było tego nadzwyczajnego parweniusza, tego wiernego niewolnika, który swoje zbrodnie względem niej odpokutował śmiercią dla niej.

Zasnęła dopiero o siódmej rano i spała jak drewno do południa. Przed samą dwunastą obudziło ją nerwowe pukanie do drzwi sypialni.

- Kto tam?

- Ja - odpowiedział jej ojciec radosnym głosem. - Wokulski nietknięty, baron raniony w twarz!

- Czy tak?...

Miała migrenę, więc została w łóżku do czwartej po południu. Była kontenta, że

baron został ranny, a zdziwiona, że opłakany przez nią Wokulski nie zginął.

Wstawszy tak późno panna Izabela wyszła przed obiadem na krótki spacer w Aleje.

Widok pogodnego nieba, pięknych drzew, przelatujących ptaków i wesołych ludzi zatarł ślady jej nocnych przywidzeń; gdy zaś jeszcze z kilku przejeżdżających powozów spostrzeżono ją i powitano, w sercu jej ocknęło się zadowolenie.

"Jednakże Pan Bóg jest łaskawy - myślała - gdy ocalił człowieka, który może się nam przydać. Ojciec tak liczy na niego, a i ja nabieram ufności. O ileż mniej w życiu doznałabym zawodów mając rozumnego i energicznego przyjaciela."

Słówko "przyjaciel" nie podobało się jej. Przyjacielem panny Izabeli mógłby być człowiek co najmniej posiadający majątek ziemski. Ale kupiec galanteryjny kwalifikował się tylko na doradcę i wykonawcę.

Po powrocie do domu zaraz poznała, że jej ojciec jest w wybornym humorze.

- Wiesz - mówił - byłem z powinszowaniem u Wokulskiego. To dzielny człowiek, istotny dżentelmen! Już ani myśli o pojedynku i nawet zdaje się żałować barona. Nic nie pomoże, szlachecka krew musi się odezwać, bez względu na kondycję...

A potem odprowadziwszy córkę do gabinetu i rzuciwszy parę razy okiem w zwierciadło dodał:

- No i powiedz sama, czy można nie ufać w opiekę boską? Śmierć tego człowieka byłaby dla mnie ciężkim ciosem - i - został uratowany! Muszę z nim zawiązać bliższe stosunki, a wtedy zobaczymy, kto wyjdzie lepiej: czy książę na swoim wielkim adwokacie, czy ja na moim Wokulskim. Jak sądzisz?

- To samo myślałam przed chwilą - odpowiedziała panna Izabela uderzona zgodnością przeczuć jej własnych i ojca - papuś koniecznie powinien mieć przy sobie zdolnego i zaufanego człowieka.

- Który w dodatku sam garnie się do mnie - dodał pan Tomasz.- Bystry człowiek! on to pojmuje, że więcej zrobi i lepszą zyska reputację pomagając dźwigać się dawnemu rodowi, aniżeli gdyby sam wyrywał się naprzód. Bardzo rozumny człowiek - powtórzył pan Tomasz. - Choć chwilowo zdobył sobie księcia i całą arystokrację, mnie jednak okazuje najwięcej przywiązania. I nie będzie tego żałował, gdy odzyskam stanowisko...

Panna Izabela patrzyła na cacka ustawione na biurku i myślała, że jednak ojciec łudzi się trochę, sądząc, iż Wokulski garnie się do niego. Nie prostowała jednak omyłki,

a na odwrót, przyznawała w duchu, że należy trochę więcej zbliżyć się z tym kupcem i przebaczyć mu jego stanowisko społeczne. Adwokat... kupiec... to prawie na jedno wychodzi: jeżeli zaś adwokat może być poufałym księcia, dlaczegóż by... kupiec (ach, jakie to niesmaczne!) nie mógł zostać powiernikiem domu Łęckich?

Obiad, wieczór i kilka dni następnych zeszły pannie Izabeli bardzo przyjemnie. Zastanowiła ją jedna okoliczność, że w ciągu tak krótkiego czasu odwiedziło ich więcej osób aniżeli dawniej w ciągu miesiąca. Bywały godziny, że w pustym niegdyś salonie teraz rozlegał się gwar śmiechów i rozmów, aż wypoczęte meble dziwiły się natłokowi, a w kuchni szeptano, że pan Łęcki musiał odebrać jakieś wielkie pieniądze. Nawet damy, które jeszcze na wyścigach nie mogły poznać panny Izabeli, przyszły teraz do niej z wizytami; młodzi zaś panowie, aczkolwiek nie przychodzili, poznawali ją na ulicy i kłaniali się z szacunkiem.

I pan Tomasz miewał teraz gości. Odwiedził go hrabia Sanocki zaklinając, ażeby Wokulski przestał już bawić się wyścigami i pojedynkami, a zajął się spółką. Był hrabia Liciński i opowiadał dziwy o dżentelmenerii Wokulskiego. Lecz nade wszystko przyjeżdżał tu parę razy książę z prośbą do pana Tomasza, ażeby Wokulski bez względu na zajście z baronem nie zniechęcał się do

arystokracji i pamiętał o nieszczęśliwym kraju.

- I niech mu też kuzyn - zakończył książę - wyperswaduje pojedynki. To niepotrzebne; to dobre dla ludzi młodych, ale nie dla poważnych i zasłużonych obywateli...

Pan Tomasz był zachwycony, szczególnie gdy pomyślał, że wszystkie te owacje spotykają go w przeddzień sprzedaży domu; rok temu bliskość podobnego wypadku odstraszała ludzi...

"Zaczynam odzyskiwać należne mi stanowisko" - szepnął pan Tomasz i nagle obejrzał się. Zdawało mu się, że za nim stoi Wokulski. Więc dla uspokojenia się powtórzył parę razy:

"Wynagrodzę go... wynagrodzę... może być pewnym mego poparcia"

Trzeciego dnia po pojedynku Wokulskiego pannie Izabeli przyniesiono kosztowne pudełko i list, który ją wstrząsnął. Poznała pismo barona.

"Kochana kuzyneczko! Jeżeli przebaczysz mi moje nieszczęsne ożenienie, ja w zamian daruję ci moją małżonkę, która już mnie samemu dokuczyła. Jako zaś materialny symbol zawartego między nami pokoju na zawsze, posyłam ci ząb, który mi wystrzelił W-ny Wokulski, zdaje mi się - za to, co ośmieliłem się powiedzieć ci na wyścigach.

Upewniam cię, kochana kuzynko, że jest to ten sam ząb, którym cię dotychczas gryzłem i już gryźć nigdy nie będę. Możesz go wyrzucić na ulicę, lecz pudełeczko racz zachować na pamiątkę. Przyjmij ten drobiazg od człowieka dziś trochę chorego i wierzaj - nie najgorszego, a będę miał nadzieję, że kiedyś zapomnisz mi moich niedorzecznych złośliwości. Kochający cię i pełen głębokiego szacunku kuzyn Krzeszowski.

P. S. Jeżeli mego zęba nie wyrzucisz za okno, przyszlij mi go na powrót, abym mógł ofiarować go mojej niezapomnianej małżonce. Będzie miała martwić się czym przez kilka dni, co podobno biedaczce jest zalecone przez doktorów. Ten zaś pan Wokulski jest bardzo miłym i dystyngowanym człowiekiem i wyznaję, że serdecznie go polubiłem, choć mi taką zrobił krzywdę."

W kosztownym pudełku znajdował się istotnie ząb owinięty w bibułkę.

Panna Izabela po krótkim namyśle odpisała bardzo życzliwy list baronowi oświadczając, że już nie gniewa się i że przyjmuje pudełeczko, a ząb z należytą czcią odsyła jego właścicielowi.

Tu już nie można było wątpić, że tylko dzięki Wokulskiemu baron pojednał się z nią i prosił o przebaczenie. Panna Izabela

nieledwie roztkliwiła się swoim triumfem, a dla Wokulskiego uczuła jakby wdzięczność. Zamknęła się w swoim gabinecie i poczęła marzyć.

Marzyła, że Wokulski sprzedał swój sklep, a kupił dobra ziemskie, lecz pozostał naczelnikiem spółki handlowej przynoszącej ogromne zyski. Cała arystokracja przyjmowała go u siebie, ona zaś, panna Izabela, zrobiła go swoim powiernikiem. On podźwignął ich majątek i podniósł go do dawnej świetności; on spełniał wszystkie jej zlecenia; on narażał się, ile razy była tego potrzeba. On wreszcie wyszukał jej męża, odpowiedniego znakomitości domu Łęckich.

Wszystko to robił, ponieważ kochał ją miłością idealną, więcej niż własne życie. I czuł się zupełnie szczęśliwym, jeżeli uśmiechnęła się do niego, życzliwiej spojrzała albo po jakiejś wyjątkowej zasłudze serdecznie uścisnęła go za rękę. Gdy zaś Pan Bóg dał jej dzieci, on wyszukiwał im bony i nauczycieli, powiększał ich majątek, a nareszcie, gdy ona zmarła (w tym miejscu łzy zakręciły się w pięknych oczach panny Izabeli), on zastrzelił się na jej grobie... Nie, przez delikatność, którą ona w nim rozwinęła, zastrzelił się o kilka grobów dalej.

Wejście ojca przerwało ciąg jej fantazji.

- Podobno pisał do ciebie Krzeszowski? - zapytał ciekawie pan Tomasz.

Córka wskazała mu list leżący na biurku i złote pudełko. Pan Tomasz kręcił głową Czytając list, a nareszcie rzekł:

- Zawsze wariat, chociaż dobry chłopak. Ale... Wokulski oddał ci rzeczywistą przysługę: zwyciężyłaś śmiertelnego wroga.

- Myślę, ojcze, że należałoby tego pana zaprosić kiedy na obiad... Chciałabym go poznać bliżej.

- Właśnie od kilku dni miałem cię o to samo prosić!... - odpowiedział uradowany pan Tomasz - niepodobna trzymać się na zbyt etykietalnej stopie z człowiekiem tak użytecznym.

- Naturalnie - wtrąciła panna Izabela - przecież nawet wierną służbę dopuszczamy do niejakiej poufałości. Uwielbiam twój rozum i takt, Belu!... - zawołał pan Tomasz i zachwycony, pocałował ją naprzód w rękę, potem w czoło.

*

Tom II
Rozdział III
Kiełkowanie rozmaitych zasiewów i złudzeń

Było już wpół do dziewiątej wieczorem, kiedy Wokulski wracał do domu. Słońce niedawno zaszło, lecz silny wzrok mógł już dopatrzeć większe gwiazdy przebłyskujące na zlotawolazurowym niebie. Po ulicach rozlegał się wesoły gwar przechodniów; w sercu Wokulskiego zasiadł radosny spokój.

Przypominał sobie każdy ruch, każdy uśmiech, każde spojrzenie i każdy wyraz panny Izabeli, z podejrzliwą troskliwością wyszukując w nich śladu niechęci albo dumy. Na próżno. Traktowała go jak równego sobie i jak przyjaciela, zapraszała, aby ich częściej odwiedzał, ba!... nawet żądała, aby ją o co prosił...

"A gdybym się był w tej chwili oświadczył - przyszło mu na myśl - to co?..."

I pilnie wpatrywał się w rysy jej widma, które mu napełniało duszę; ale - znowu nie dostrzegł ani śladu niechęci. Owszem - figlarny uśmiech.

"Odpowiedziałaby - myślał - że za mało jeszcze się znamy, że powinienem zasłużyć na nią... Tak... niezawodnie tak by

odpowiedziała" - powtarzał, ciągle przypominając sobie niewątpliwe oznaki sympatii.

"W ogóle - mówił - byłem niesprawiedliwie uprzedzony do wielkich panów. A oni są przecie takimi jak i my ludźmi; może nawet mają więcej subtelnych uczuć. Wiedząc, że jesteśmy goniącymi za zyskiem gburami, unikają nas. Ale poznawszy w nas uczciwe serca, przygarniają do siebie... Cóż to za rozkoszna żona może być z takiej kobiety! Naturalnie, że powinienem na nią zasłużyć. Jeszcze jak!..."

I pod wpływem tych myśli czuł, że budzi się w nim jakaś wielka życzliwość, która ogarnia naprzód dom Łęckich, potem dalszą ich rodzinę, potem jego sklep i wszystkich ludzi, którzy w nim pracowali, potem wszystkich kupców, którzy mieli z nim stosunki, a nareszcie - cały kraj i całą ludzkość. Zdawało się Wokulskiemu, że każdy uliczny przechodzień jest jego krewnym, bliższym lub dalszym; wesołym lub smutnym. I niewiele brakowało, ażeby stanąwszy na chodniku zaczepiał jak żebrak ludzi i pytał: "Może który z was czego potrzebuje?... Żądajcie, rozkazujcie, proszę was... w *jej* imieniu..."

"Podle mi dotychczas życie schodziło - mówił sobie. - Byłem egoistą. Ochocki - oto wspaniała dusza: chce przypiąć skrzydła ludzkości i dla tej idei zapomina o własnym

szczęściu. Sława, naturalnie, jest głupstwem, ale praca dla pomyślności ogółu - to grunt... - A potem dodał z uśmiechem: - Ta kobieta już zrobiła ze mnie bogacza i człowieka z reputacją, lecz jeżeli uprze się, zrobi ze mnie - czy ja wiem co?... Chyba świętego męczennika, który swoją pracę, nawet życie odda dla dobra innych... Naturalnie, że oddam, gdy ona tego zechce!..."

Sklep jego był już zamknięty, ale przez otwory okiennic wyglądało światło.

Coś jeszcze robią" - pomyślał Wokulski.

Skręcił w bramę i przez tylne drzwi wszedł do sklepu. Na progu zetknął się z wychodzącym Ziębą, który pożegnał go niskim ukłonem; w głębi zaś sklepu było jeszcze kilka osób. Klejn wdrapywał się na drabinkę, ażeby coś poprawić na półkach. Lisiecki ubierał się w palto, za kantorem nad księgą siedział Rzecki, a przed, nim stał jakiś człowiek i płakał.

- Stary jedzie! - zawołał Lisiecki.

Rzecki przysłaniając oczy ręką spojrzał na Wokulskiego; Klejn ukłonił mu się parę razy ze szczytu drabinki, a płaczący człowiek zwrócił się nagle i z głośnym jękiem objął go za nogi.

- Co to jest?... - spytał zdziwiony Wokulski poznając w płaczącym starego inkasenta

Obermana. - Zgubił czterysta kilkadziesiąt rubli - odparł Rzecki surowo. - Naturalnie, że nie było nadużycia, głowę dam za to, ale i firma tracić nie może, tym bardziej że pan Oberman ma u nas kilkaset rubli oszczędności. Jedno więc z dwojga - prawił rozdrażniony Rzecki - albo pan Oberman zapłaci, albo pan Oberman straci miejsce... Piękne robilibyśmy interesa mając wszystkich takich inkasentów jak pan Oberman...

- Zapłacę, panie - mówił szlochając inkasent - zapłacę, ale niech mi pan rozłoży choć na parę lat. Toż te pięćset rubli, co mam u panów, to mój cały majątek. Chłopiec skończył szkoły i chce uczyć się na doktora, a i starość za pasem... Bóg i pan wie, co się człowiek napracuje, nim zbierze taki grosz... Musiałbym się drugi raz urodzić, ażeby znowu go zebrać...

Klejn i Lisiecki, obaj ubrani, czekali na wyrok pryncypała.

- Tak - odezwał się Wokulski - firma nie może tracić. Oberman zapłaci.

- Słucham pana - wyszeptał nieszczęśliwy inkasent.

Panowie Klejn i Lisiecki pożegnali się i wyszli. Za nimi, wzdychając zabierał się i Oberman do opuszczenia sklepu. Lecz gdy

zostali tylko we trzech, Wokulski dodał szybko:

- Oberman, zapłacisz, a ja ci zwrócę...

Inkasent rzucił mu się do nóg.

- Za pozwoleniem!... za pozwoleniem - przerwał Wokulski podnosząc go. - Jeżeli słówko powiesz komu o naszym układzie, cofnę prezent, uważasz, Oberman?... Inaczej wszyscy zechcą gubić pieniądze. Idź więc do domu i milcz...

- Rozumiem. Niech Bóg zeszle na pana wszystko najlepsze-odparł inkasent i wyszedł, na próżno starając się ukryć radość.

- Już zesłał najlepsze - rzekł Wokulski myśląc o pannie Izabeli. Rzecki był niekontent.

- Wiesz, mój Stachu - odezwał się, gdy zostali sami - że lepiej zrobisz nie mieszając się do sklepu. Z góry wiedziałem, że całej sumy nie każesz mu zwracać; ja sam nie żądałbym tego., Ale ze sto rubli, tytułem kary, powinien był gałgan zapłacić... Zresztą, pal diabli, można mu było i wszystko darować: ale należało choć z parę tygodni utrzymać w niepewności... Inaczej lepiej od razu zamknąć budę.

Wokulski śmiał się.

- Lękałbym się - odparł - gniewu boskiego, gdybym w takim dniu skrzywdził człowieka.

- W jakim dniu?... - spytał Rzecki, szeroko otwierając oczy.

- Mniejsza o to. Dziś dopiero widzę, że trzeba być litościwym.

- Byłeś nim zawsze i aż zanadto - oburzył się pan Ignacy-i przekonasz się, że dla ciebie ludzie takimi nie będą.

- Już są - rzekł Wokulski i podał mu rękę na pożegnanie.

- Już są?... - powtórzył pan Ignacy przedrzeźniając go. - Już są!... Nie życzę ci, abyś potrzebował kiedy wystawiać na próbę ich współczucia...

- Mam je bez prób. Dobranoc.

- Masz!... masz!:. Zobaczymy, jak ono będzie wyglądało w razie potrzeby. Dobranoc, dobranoc... - mówił stary subiekt, z hałasem chowając księgi.

Wokulski szedł do swego mieszkania i myślał:

"Trzeba nareszcie złożyć wizytę Krzeszowskiemu... Pójdę jutro...W całym znaczeniu przyzwoity człowiek... przeprosił pannę Izabelę. Jutro podziękuję mu i - niech mnie licho weźmie - jeżeli nie spróbuję dopomóc.

Choć z takim próżniakiem i letkiewiczem ciężka sprawa...Ale mniejsza o to, spróbuję... On przeprosił pannę Izabelę, ja wydobędę go z długów." Uczucia spokoju i niezachwianej pewności tak w tej chwili górowały nad wszelkimi innymi w duszy Wokulskiego, że gdy wrócił do domu, zamiast marzyć (co mu się zwykle zdarzało), wziął się do roboty. Wydobył gruby kajet, już w większej części zapisany, potem książkę z polsko-angielskimi ćwiczeniami i zaczął pisać zdania wymawiając je półgłosem i usiłując jak najdokładniej naśladować nauczyciela swego, pana Wiliama Colinsa.

W kilkuminutowych zaś przerwach myślał to o jutrzejszej wizycie u barona Krzeszowskiego i o sposobie wydobycia go z długów, to o Obermanie, którego wybawił z nieszczęścia.

"Jeżeli błogosławieństwo ma jaką wartość - mówił do siebie - cały kapitał błogosławieństw Obermana, wraz ze składanym procentem, ceduję jej..."

Potem przyszło mu na myśl, że nie jest to zbyt świetnym prezentem dla panny Izabeli - uszczęśliwić jednego tylko człowieka. Całego świata - nie może; ale warto by z okazji bliższego poznania się z panną Izabelą podźwignąć bodaj kilka osób.

"Drugim będzie Krzeszowski - myślał - ale ratować takich zuchów - żadna zasługa... Aha!..." Uderzył się ręką w czoło i porzuciwszy ćwiczenia angielskie wydobył archiwum swoich korespondencyj prywatnych. Była to safianowa okładka, gdzie podług dat umieszczał nadchodzące listy, których spis znajdował się na początku.

"Aha! - mówił - list mojej magdalenki i jej opiekunek, stronica sześćset trzy..."

Znalazł stronicę i z uwagą przeczytał dwa listy: jeden pisany elegancko, drugi - jakby go kreśliła dziecinna ręka. W pierwszym zawiadomiono go, że taka to a taka Maria, niegdyś dziewczyna złego prowadzenia, obecnie nauczyła się szyć bielizny, krawiectwa i odznacza się pobożnością, posłuszeństwem, łagodnością i dobrymi obyczajami. W drugim liście sama owa Maria... dziękowała mu za dotychczasową pomoc i prosiła tylko o wyszukanie jakiego zajęcia.

"Niech już wielmożny i dobrotliwy pan - pisała - kiedy z łaski Boga ma takie duże fundusze, na mnie grzeszną ich nie wydaje. Bo ja teraz sama sobie poradzę, bylem miała o co ręce zaczepić, a ludzi, co potrzebują gorzej niż ja, nieszczęśliwa, zhańbiona, w Warszawie nie brak..."

Wokulskiemu przykro się zrobiło, że podobna prośba kilka dni czekała na odpowiedź. Natychmiast odpisał i zawołał służącego.

- List ten - rzekł - odeślesz rano do magdalenek...

- Żrobi się - odparł służący usiłując zapanować nad ziewaniem.

- Sprowadzisz mi także furmana Wysockiego, tego z Tamki, wiesz?...

- O jeszcze nie miałbym wiedzieć. Ale pan słyszał...

- Tylko żeby mi tu przyszedł z rana...

- O!... czemu nie. Ale pan słyszał, że Oberman zgubił wielkie pieniądze? Był tu z wieczora i przysięgał, że zabiję się albo zrobi sobie co złego, jeżeli pan nie okaże nad nim litości. Ja mówię: "Nie bądźcie głupi, nie żabijajcie się, poczekajcie... Nasz stary ma miętkie szercze..."A on gada: "Ja se też tak kalkuluję, ale zawsze będzie heca, bo mi choć trochę strącą, a tu syn idzie na medyka, a tu starość chwyta człowieka za poły..."

- Proszę cię, idź spać - przerwał mu Wokulski.

- Pójść pójdę - odparł z gniewem służący - ale u pana to taka służba, że gorzej niż

w kryminale: nawet szpać nie można iść, kiedy się chce...

Zabrał list i wyszedł.

Na drugi dzień około dziewiątej rano służący obudził Wokulskiego, donosząc mu, że czeka Wysocki.

- Niech no wejdzie. Po chwili wszedł furman. Był przyzwoicie ubrany, miał czerstwą cerę i wesołe spojrzenie. Zbliżył się do łóżka i ucałował Wokulskiemu ręce.

- Mój Wysocki, podobno przy twoim mieszkaniu jest wolny pokój?

- A tak, wielmożny panie, bo mi stryjek umarł, a jego bestie lokatory nie chciały płacić, więcem wygnał. Na wódkę to łobuz ma, a na komorne go nie stać...

- Ja wynajmę od ciebie ten pokój - mówił Wokulski - tylko trzeba go odczyścić... Furman patrzył na Wokulskiego zdziwiony.

- Będzie tam mieszkać młoda szwaczka - mówił dalej Wokulski. - Niech stołuje się u was, niech jej twoja żona pierze bieliznę...Niech zobaczy czego jej brak? Na sprzęty i na bieliznę ja dam pieniędzy... Potem będziecie uważali, czy nie sprowadza kogo do domu...

- O ni! - zawołał z ożywieniem furman. - Ile razy będzie wielmożnemu panu potrzebna,

ja ją sam zawiodę; ale żeby kto zaś z miasta - to ni!... Z takiego interesu wielmożny pan mógłby się tylko nabawić nieszczęścia...

- Głupiś, mój Wysocki. Ja jej widywać nie potrzebuję. Byle była porządna w domu, schludna, pracowita, to niech sobie chodzi, gdzie chce. Tylko niech do niej nie chodzą. Więc rozumiesz: trzeba w pokoju odświeżyć ściany, umyć podłogę, kupić sprzęty tanie, ale nowe i dobre, znasz się na tym?...

- I jak jeszcze. Ilem się w życiu mebli nawoził...

- Dobrze. A twoja żona niech zobaczy, co jej potrzeba z bielizny i odzienia, i da mi znać.

- Rozumiem wszystko, wielmożny panie - odparł Wysocki, znowu całując go w rękę.

- Ale... A cóż z twoim bratem?...

- Niezgorzej, wielmożny panie. Siedzi, dziękować Bogu i wielmożnemu panu, w Skierniewicach, ma grunt, najął parobka i tera z niego wielki pan. Za parę lat jeszcze ziemi dokupi, bo stołuje się u niego jeden dróżnik i stróż, i dwa smarowniki. Nawet mu tera kolej pensji dodała...

Wokulski pożegnał furmana i zaczął się ubierać. "Chciałbym przespać ten czas, dopóki znowu jej nie zobaczę" - myślał Wokulski.

Do sklepu nie chciało mu się iść. Wziął jakąś książkę i czytał postanawiając sobie między pierwszą i drugą wybrać się do barona Krzeszowskiego.

O jedenastej w przedpokoju rozległ się dzwonek i trzask otwieranych drzwi. Wszedł służący.

- Jakaś panna czeka...

- Proś do sali - rzekł Wokulski.

W sali zaszeleściła kobieca suknia. Wokulski, stanąwszy na progu, zobaczył swoją magdalenkę. Zdumiały go nadzwyczajne zmiany w niej. Dziewczyna była czarno ubrana, miała bladawą, ale zdrową cerę i nieśmiałe spojrzenie. Spostrzegłszy Wokulskiego zarumieniła się i zaczęła drżeć. - Niech pani siądzie, panno Mario - odezwał się wskazując jej krzesło.

Usiadła na brzegu aksamitnego sprzętu, jeszcze mocniej zawstydzona. Powieki szybko zamykały się jej i otwierały; patrzyła w ziemię, a na rzęsach jej błysnęły krople łez. Inaczej wyglądała przed dwoma miesiącami.

- Więc już pani umie krawieczyznę, panno Mario?

- Tak.

- I gdzież pani ma zamiar umieścić się?

- Może by do jakiego magazynu albo w służbę... do Rosji...

- Dlaczegóż tam?

- Tam podobno łatwiej dostać robotę, a tu... któż mnie przyjmie? - szepnęła.

- A gdyby tu jaki skład brał u pani bieliznę, czy nie opłaciłoby się zostać?

- O tak... Ale tu trzeba mieć własną maszynę i mieszkanie; i wszystko... Kto tego nie ma, musi iść w służbę.

Nawet głos jej się zmienił. Wokulski pilnie przypatrywał się jej, nareszcie rzekł:

- Zostanie pani tymczasem w Warszawie. Mieszkać będzie pani na Tamce, przy rodzinie furmana Wysockiego. To bardzo dobrzy ludzie. Pokój będzie pani miała osobny, stołować się będzie pani u nich, a maszyna i wszystko, co się okaże potrzebnym do szycia bielizny, znajdzie się także. Rekomendacje do składu bielizny dam pani, a po paru miesiącach zobaczymy, czy utrzyma się pani z tej roboty. - Oto adres Wysockich. Proszę tam zaraz pójść, kupić z Wysocką sprzęty, dopilnować, ażeby uporządkowali pokój. Maszynę przyślę pani jutro... A oto pieniądze na zagospodarowanie się. Pożyczam je; zwróci mi je pani ratami, jak już zacznie iść robota.

Podał jej kilkadziesiąt rubli zawiniętych w kartkę do Wysockiego. A kiedy ona wahała się, czy ma brać, wcisnął jej zwitek w rękę i rzekł:

- Proszę, bardzo proszę natychmiast iść do Wysockich. Za parę dni on przyniesie pani list do składu bielizny. W nagłym wypadku proszę odwołać się do mnie. Żegnam panią...

Ukłonił się i cofnął do swego gabinetu.

Dziewczyna chwilę jeszcze postała na środku sali; potem otarła łzy i wyszła pełna jakiegoś uroczystego zdziwienia.

"Zobaczymy, jak powiedzie się jej w nowych warunkach" - rzekł do siebie Wokulski i znowu zasiadł do czytania.

O pierwszej w południe udał się Wokulski do barona Krzeszowskiego, po drodze wyrzucając sobie, że tak późno składa wizytę swojemu eks-przeciwnikowi.

"Mniejsza o to - pocieszał się. - Nie mogłem go przecie nachodzić, kiedy był chory. A bilet posłałem."

Zbliżywszy się do domu, w którym lokował się baron, Wokulski mimochodem zauważył, że ściany kamienicy mają tak niezdrową barwę zielonawą, jak Maruszewicz żółtawą, i że rolety w mieszkaniu Krzeszowskiego są podniesione:

"Widać już zdrów - myślał. - Nie wypada jednak od razu pytać o jego długi. Zrobię to za drugą lub trzecią wizytą; potem, spłacę lichwiarzy i biedny baron odetchnie. Nie mogę być obojętnym dla człowieka, który przeprosił pannę Izabelę..."

Wszedł na piętro i zadzwonił. W mieszkaniu słychać było kroki, ale nie śpieszono się z otwieraniem. Zadzwonił drugi raz. Chodzenie, a nawet przesuwanie sprzętów odbywało się w dalszym ciągu za drzwiami, ale znów nie otwierano. Zniecierpliwiony, szarpnął dzwonek tak gwałtownie, że o mało go nie urwał. Wówczas dopiero zbliżył się ktoś do drzwi i począł flegmatycznie zdejmować łańcuszek, kręcić kluczem i odciągać zasuwkę mrucząc:

- Widać swój... Żyd by tak nie dzwonił...

Nareszcie otworzyły się drzwi i stanął w progu lokaj Konstanty. Na widok Wokulskiego przymrużył oczy i wysunąwszy dolną wargę spytał:

- A co to?... Wokulski odgadł, że nie cieszy się łaskami wiernego sługi, który był przy pojedynku.

- Pan baron w domu? - spytał.

- Pan baron leży chory i nikogo nie przyjmuje, bo teraz jest doktór.

Wokulski wydobył swój bilet i dwa ruble.

- Kiedyż mniej więcej można odwiedzić pana?

- Bardzo, bardzo nie zaraz... - odparł trochę łagodniej Konstanty. - Bo pan jest chory z postrzału i doktorzy kazali mu dziś - jutro jechać do ciepłych krajów albo na wieś.

- Więc przed wyjazdem nie można widzieć się?...

- O, wcale nie można... - Doktorzy ostro nakazali nie przyjmować nikogo. Pan ciągle w gorączce...

Dwa stoliki do kart, z których jeden miał złamaną nogę, a drugi gęsto zapisane sukno, tudzież kandelabry z niedopałkami świec woskowych kazały powątpiewać o dokładności patologicznych określeń Konstantego.

Mimo to Wokulski jeszcze dodał mu rubla i odszedł, bynajmniej niezadowolony z przyjęcia.

"Może baron - myślał - po prostu nie chce mojej wizyty? Ha! w takim razie niech płaci lichwiarzom i zabezpiecza się od nich aż czterema sposobami zamknięć..." ,

Wrócił do siebie.

Baron istotnie miał zamiar wyjechać na wieś i nie był zdrów, ale i nie tak chory. Rana w policzku goiła mu się bardzo

powoli; nie dlatego, ażeby miała być ciężką, ale że organizm pacjenta był mocno podszarpany. W chwili wizyty Wokulskiego baron był wprawdzie obwiązany jak stara kobieta na mrozie, ale nie leżał w łóżku, tylko siedział na fotelu i miał przy sobie nie doktora, ale hrabiego Licińskiego.

Właśnie narzekał przed hrabią na opłakany stan zdrowia.

- Niech diabli wezmą - mówił - tak podłe życie! Ojciec zostawił mi wprawdzie pół miliona rubli w dziedzictwie, ale zarazem cztery choroby, z których każda warta milion... Co za niewygoda bez binokli...No i wyobraź sobie hrabia: pieniądze rozeszły się, ale choroby zostały. Że zaś ja sam dorobiłem sobie parę nowych chorób i trochę długów, więc - sytuacja jasna: byłem się szpilką zadrasnął, muszę posyłać po trumnę i rejenta.

- Tek! - odezwał się hrabia. - Nie sądzę jednak, ażebyś pan w podobnej sytuacji rujnował się na rejentów.

- Właściwie to mnie rujnują komornicy...

Baron, opowiadając, niecierpliwie chwytał odgłosy dolatujące go z przedpokoju, ale - nic nie mógł zmiarkować. Dopiero gdy usłyszał zamykanie drzwi, zasuwanie zatrzasku i zakładanie łańcucha, nagle wrzasnął:

- Konstanty ...

Po chwili wszedł służący nie zdradzając zbytecznego pośpiechu.

- Kto był?... Pewnie Goldcygier... Powiedziałem ci, ażebyś z tym łotrem nie wdawał się w żadne rozprawy, tylko porwał za łeb i zrzucił ze schodów. Wyobraź pan sobie - zwrócił się do Licińskiego - ten podły Żyd nachodzi mnie ze sfałszowanym wekslem na czterysta rubli I ma bezczelność żądać zapłaty!...

- Trzeba wytoczyć proces, tek...

- Ja nie wytoczę... Nie jestem prokuratorem, który ma obowiązek ścigać fałszerzy. Zresztą nie chcę dawać inicjatywy do gubienia jakiegoś zapewne biedaka, który zabija się pracą nad naśladowaniem cudzych podpisów... Czekam więc, ażeby Goldcygier wystąpił z akcją, a dopiero wówczas nikogo nie oskarżając przyznam, że to nie mój podpis.

- A właśnie, że to nie był Goldcygier - odezwał się Konstanty.

- Więc kto?... Rządca... może krawiec?...

- Nie... Ten pan... - rzekł służący i podał bilet Krzeszowskiemu. - Porządny człowiek, alem go wygnał, kiedy tak pan baron kazał...

- Co?.- spytał zdziwiony hrabia spoglądając na bilet.

- Nie kazałeś pan przyjmować Wokulskiego?...

- Tak - potwierdził baron. - Licha figura, a przynajmniej... nie do towarzystwa...

Hrabia Liciński z pewnym akcentem poprawił się na fotelu.

- Nie spodziewałem się usłyszeć takiego zdania o tym panu... od pana... Tek...

- Nie bierz pan tego, co mówię, w jakimś hańbiącym znaczeniu - pośpieszył objaśnić baron. - Pan Wokulski nie zrobił nic podłego, tylko... takie małe świństewko, które może uchodzić w handlu, ale nie w towarzystwie...

Hrabia z fotelu, a Konstanty z progu uważnie przypatrywali się Krzeszowskiemu.

- Sam hrabia osądź - mówił dalej baron. - Klacz moją ustąpiłem pani Krzeszowskiej (przed Bogiem i ludźmi prawnie zaślubionej mi małżonce) za osiemset rubli. Pani Krzeszowska na złość mnie (nie wiem nawet za co!) postanowiła koniecznie ją sprzedać. No i trafił się nabywca, pan Wokulski, który korzystając z afektu kobiety postanowił zarobić na klaczy...

dwieście rubli!... dał bowiem za nią tylko sześćset...

- Miał prawo, tek - wtrącił hrabia.

- Eh! Boże... Wiem, że miał prawo... Ale człowiek, który dla pokazania się wyrzuca tysiące rubli, a gdzieś w kącie zarabia na histeryczkach po dwadzieścia pięć procent, taki człowiek nie jest smaczny... To nie dżentelmen... Zbrodni nie popełnił, ale... jest tak nierówny w stosunkach, jak ktoś, kto rozdając znajomym w prezencie dywany i szale wyciągałby nieznajomym chustki do nosa. Zaprzeczy pan temu...

Hrabia milczał i dopiero po chwili odezwał się:

- Tek!... Czy to jednak pewne?

- Najpewniejsze. Układy między panią Krzeszowską i tym panem prowadził mój Maruszewicz i wiem to od niego.

- Tek. W każdym razie pan Wokulski jest dobrym kupcem i naszą spółkę poprowadzi...

- Jeżeli was nie okpi... Tymczasem Konstanty, wciąż stojąc na progu, zaczął z politowaniem kiwać głową, aż zniecierpliwiony odezwał się:

- Eh!... co też pan wygaduje... Tfy... zupełnie jak dziecko...

Hrabia spojrzał na niego ciekawie, a baron wybuchnął:

- A ty co, błaźnie, odzywasz się, kiedy cię nie pytają?...

- Naturalnie, że się odzywam, bo pan i gada, i robi całkiem jak dziecko...,ja jestem tylko lokaj, ale przecie wolałbym wierzyć takiemu, co mi daje dwa ruble za wizytę, aniżeli takiemu, co ode mnie po trzy ruble pożycza i wcale nie śpieszy się z oddawaniem. Ot, co jest, dziś pan Wokulski dał mi dwa ruble, a pan Maruszewicz...

- Won!... - wrzasnął baron chwytając za karafkę, na widok której Konstanty uznał za pożyteczne oddzielić się od swego pana grubością drzwi. - A to łotr fagas!... - dodał baron, widocznie bardzo zirytowany.

- Pan ma słabość do tego Maruszewicza? - spytał hrabia.

- Ale bo to poczciwy chłopak... Z jakich on mnie sytuacji nie wyprowadzał... ile daje mi dowodów nieledwie psiego przywiązania ...

- Tek!... - mruknął zamyślony hrabia. Posiedział jeszcze kilka minut, nic nie mówiąc, i nareszcie pożegnał barona.

Idąc do domu hrabia Liciński kilka razy powracał myślą do Wokulskiego. Uważał za

rzecz naturalną, że kupiec zarabia nawet na wyścigowym koniu; swoją drogą czuł jakiś niesmak do podobnych operacyj, a już całkiem miał za złe Wokulskiemu, że wdaje się z Maruszewiczem, figurą co najmniej podejrzaną.

"Zwyczajnie, zbogacony parweniusz! - mruknął hrabia. - Przedwcześnie zachwycaliśmy się nim, chociaż... spółkę może prowadzić...Rozumie się, przy pilnej kontroli z naszej strony."

W parę dni, około dziewiątej rano, Wokulski odebrał dwa listy: jeden od pani Meliton, drugi od książęcego adwokata.

Niecierpliwie otworzył pierwszy, w którym pani Meliton napisała tylko te słowa: "Dziś w Łazienkach o zwykłej godzinie." Przeczytał go parę razy, po czym z niechęcią wziął się do listu adwokata, który zapraszał go również dzisiaj na godzinę jedenastą rano na konferencję w sprawie kupna domu Łęckich. Wokulski głęboko odetchnął; miał czas.

Punkt o jedenastej był w gabinecie mecenasa, gdzie już zastał starego Szlangbauma. Mimo woli zauważył, że siwy Żyd bardzo poważnie wygląda na tle brązowych sprzętów i obić i że mecenasowi jest bardzo do twarzy w pantoflach z brązowego safianu.

- Pan ma szczęście, panie Wokulski - odezwał się Szlangbaum. - Ledwie panu zachciało się kupić dom, a już domy idą w górę. Ja powiadam, słowo daję, że pan w pół roku odzyska swój nakład na tę kamienicę i jeszcze co zarobi! A ja przy panu...

- Myślisz pan? - odparł niedbale Wokulski.

- Ja nie myślę - mówił Żyd - ja już zarabiam. Wczoraj adwokat pani baronowej Krzeszowskiej pożyczył ode mnie dziesięć tysięcy rubli do Nowego Roku i dał osiemset rubli procentu.

- Cóż to, i ona już nie ma pieniędzy? - spytał Wokulski adwokata.

- Ma w banku dziewięćdziesiąt tysięcy rubli, ale na tym baron położył areszt. Piękną napisali intercyzę, co?... - zaśmiał się adwokat. - Mąż kładzie areszt na pieniądzach będących niewątpliwą własnością żony, z którą toczy proces o separację... Ja, co prawda, takich intercyz nie pisywałem, cha, cha!... - śmiał się adwokat ciągnąc dym z wielkiego bursztyna.

- Na cóż baronowa pożycza od pana te dziesięć tysięcy, panie Szlangbaum? - rzekł Wokulski.

- Pan nie wie? - odparł Żyd. - Domy idą w górę, i adwokat wytłumaczył pani

baronowej, że kamienicy pana Łęckiego nie kupi taniej niż za siedemdziesiąt tysięcy rubli. Ona wolałaby kupić ją za dziesięć tysięcy, no, ale co zrobi?...

Mecenas usiadł przed biurkiem i zabrał głos.

- Zatem, szanowny panie Wokulski, kamienicę państwa Łęckich (lekko schylił głowę) kupuje, w imieniu pańskim, nie ja, tylko obecny tu (ukłonił się) pan S. Szlangbaum.

- Mogę kupić, czemu nie - szepnął Żyd. - Ale za dziewięćdziesiąt tysięcy rubli, nie taniej - wtrącił Wokulski - i przez li-cy-ta-cję... - dodał z naciskiem.

- Czemu nie? To nie moje pieniądze!.. Chce pan płacić, będzie pan miał konkurentów do licytacji... Żebym ja miał tyle tysięcy, ile tu w Warszawie, można wynająć do każdy interes bardzo porządne osoby i katoliki, to ja bym był bogatszy od Rotszylda.

-Więc będą porządni konkurenci - powtórzył mecenas. - Doskonale. Teraz ja oddam panu Szlangbaumowi pieniądze...

- To niepotrzebne - wtrącił Żyd.

- A następnie spiszemy akcik, mocą którego pan S. Szlangbaum zaciąga od wielmożnego S. Wokulskiego dług w kwocie dziewięćdziesięciu tysięcy rubli i takowy

zabezpiecza na nowo nabytej przez siebie kamienicy. Gdyby zaś pan S. Szlangbaum do dnia 1 stycznia 1879 roku powyższej sumy nie zwrócił...

- I nie wrócę.

- W takim razie kupiona przez niego kamienica po jaśnie wielmożnych Łęckich przechodzi na własność wielmożnego S. Wokulskiego. - W tej chwili może przejść... Ja nawet do niej nie zajrzę - odparł Żyd machając ręką.

- Wybornie! - zawołał mecenas. - Na jutro będziemy mieli akcik, a za tydzień... dziesięć dni, kamienicę. Bodajbyś pan tylko nie stracił na niej z kilkunastu tysięcy rubli, szanowny panie Stanisławie.

- Tylko zyskam - odparł Wokulski i pożegnał mecenasa i Szlangbauma.

- Ale, ale... - pochwycił mecenas odprowadziwszy Wokulskiego do salonu. - Nasi hrabiowie tworzą spółkę, tylko nieco zmniejszają udziały i żądają bardzo szczegółowej kontroli interesu.

- Mają rację.

- Szczególniej ostrożnym okazuje się hrabia Liciński. Nie rozumiem, co się z nim stało...

- Daje pieniądze, więc jest ostrożny. Dopóki dawał tylko słowo, był śmielszy...

- Nie, nie, nie!... - przerwał mu adwokat. - W tym coś jest i ja to wyśledzę... Ktoś nam buty uszył...

- Nie wam, ale mnie - uśmiechnął się Wokulski. - W rezultacie, wszystko mi jedno i nawet wcale bym się nie gniewał, gdyby panowie ci nie przystępowali do spółki...

Jeszcze raz pożegnał adwokata i pobiegł do sklepu. Tam znalazło się kilka ważnych interesów, które zatrzymały go nadspodziewanie długo. Dopiero o wpół do drugiej był w Łazienkach. Surowy chłód parku, zamiast uspokoić, podniecał go. Biegł tak szybko, że chwilami przychodziło mu na myśl: czy nie zwraca uwagi przechodniów? Wtedy zwalniał kroku i czuł, że niecierpliwość piersi mu rozsadza.

"Już ich pewno nie spotkam!" - powtarzał z rozpaczą.

Tuż nad sadzawką, na tle zielonych klombów, spostrzegł popielaty płaszczyk panny Izabeli. Stała nad brzegiem w towarzystwie hrabiny i ojca i rzucała pierniki łabędziom, z których jeden nawet wyszedł z wody na swoich brzydkich łapach i umieścił się u stóp panny Izabeli.

Pierwszy zobaczył go pan Tomasz.

- Cóż za wypadek! - zawołał do Wokulskiego. - Pan o tej porze w Łazienkach?..

Wokulski ukłonił się paniom zauważywszy z rozkosznym zdziwieniem rumieniec na twarzy panny Izabeli.

- Bywam tu, ile razy przepracuję się... To jest dosyć często...

- Szanuj siły, panie Wokulski... - ostrzegł go pan Tomasz; uroczyście grożąc palcem... - *A propos* - dodał półgłosem - wyobraź pan sobie, że za moją kamienicę już baronowa Krzeszowska chce dać siedemdziesiąt tysięcy rubli... Z pewnością wezmę sto tysięcy, a może i sto dziesięć... Błogosławione są te licytacje!...

- Tak rzadko widuję pana, panie Wokulski - wtrąciła hrabina - że muszę zaraz załatwić interes... - Do usług pani...

- Panie! - zawołała z komiczną pokorą składając ręce - proszę o sztukę perkalu dla moich sierot... Widzi pan, jak nauczyłam się przymawiać o jałmużnę?

- Pani hrabina raczy przyjąć dwie sztuki?...

- Tylko w takim razie, jeżeli druga będzie sztuką grubego płótna...

- O ciociu, tego już za wiele!... - przerwała jej panna Izabela ze śmiechem. - Jeżeli pan

nie chce stracić majątku - zwróciła się do Wokulskiego - niech pan stąd ucieka. Zabieram pana w stronę Pomarańczarni, a ci państwo niech tu odpoczywają...

- Belu, nie boisz się?... - odezwała się ciotka.

- Chyba ciocia nie wątpi, że w towarzystwie pana nie spotka mnie nic złego...

Wokulskiemu uderzyła krew do głowy; na ustach hrabiny mignął niedostrzegalny uśmiech. Była to jedna z tych chwil, kiedy natura hamuje swoje wielkie siły i zawiesza odwieczne prace, ażeby uwydatnić szczęście istot drobnych i znikomych.

Wiatr zaledwie dyszał, i tylko po to, ażeby chłodzić śpiące w gniazdach pisklęta i ułatwić lot owadom śpieszącym na weselne gody. Liście drzew chwiały się tak delikatnie, jakby poruszał je nie materialny podmuch, ale cicho prześlizgujące się promienie światła. Tu i owdzie, w przesiąkłych wilgocią gęstwinach, mieniły się barwne krople rosy jak odpryski spadłej z nieba tęczy.

Zresztą wszystko stało na miejscu: słońce i drzewa, snopy światła i cienie, łabędzie na stawie, roje komarów nad łabędziami, nawet połyskująca fala na lazurowej wodzie. Wokulskiemu zdawało się; że w tej chwili odjechał z ziemi bystry prąd czasu zostawiając tylko parę białych smug na

niebie - i od tej pory nie zmieni się już nic; wszystko zostanie tak samo na wieki. Że on z panną Izabelą będzie wiecznie chodził po oświetlonej łące, oboje otoczeni zielonymi obłokami drzew, spośród których gdzieniegdzie, jak para czarnych brylantów, błyskają ciekawe oczy ptaka. Że on już zawsze będzie pełen niezmiernej ciszy, ona zawsze tak rozmarzona i oblana rumieńcem, że przed nimi zawsze, jak teraz, będą lecieć całujące się w powietrzu te oto dwa białe motyle.

Byli w połowie drogi do Pomarańczarni, kiedy panna Izabela, widać już zakłopotana tym spokojem w naturze i między nimi, poczęła mówić:

-Prawda, jaki ładny dzień? W mieście upał, tu przyjemny chłód. Bardzo lubię Łazienki o tej godzinie: mało osób, więc każdy może znaleźć kącik wyłącznie dla siebie. Pan lubi samotność?

- Nawykłem do niej.

- Pan nie był na Rossim?.. - dodała rumieniąc się jeszcze mocniej. - Rossiego nie widział pan?... - powtórzyła patrząc mu w oczy ze zdziwieniem.

- Nie byłem, ale... będę...

- My z ciocią byłyśmy już na dwu przedstawieniach.

- Będę na każdym...

- Ach, jak to dobrze! Przekona się pan, co to za wielki artysta. Szczególniej znakomicie gra Romea, chociaż... już nie jest pierwszej młodości... Ciocia i ja znamy go osobiście jeszcze z Paryża... Bardzo miły człowiek, ale nade wszystko genialny tragik... W jego grze najprawdziwszy realizm kojarzy się z najpoetyczniejszym idealizmem...

- Musi być istotnie wielkim - wtrącił Wokulski - jeżeli budzi w pani tyle podziwu i sympatii.

- Ma pan słuszność. Wiem, że w życiu nie zrobię nic nadzwyczajnego, ale umiem przynajmniej oceniać ludzi niezwykłych... Na każdym polu... nawet - na scenie... Niech pan sobie jednak wyobrazi, że Warszawa nie ocenia go jak należy?...

- Czy podobna?... Jest przecie cudzoziemcem...

- A pan jest złośliwy - odparła z uśmiechem - ale policzę to na karb Warszawy, nie Rossiego... Doprawdy, wstydzę się za nasze miasto!... Ja gdybym była publicznością (ale publicznością rodzaju męskiego!), zasypałabym go wieńcami, a ręce spuchłyby mi od oklasków...Tu zaś oklaski są dość skąpe, a o wieńcach nikt nie myśli... My istotnie jesteśmy jeszcze barbarzyńcami...

- Oklaski i wieńce są rzeczą tak drobną, że... na najbliższym przedstawieniu Rossi może mieć ich raczej za wiele aniżeli za mało- rzekł Wokulski.

- Jest pan pewny? - spytała, wymownie patrząc mu w oczy.

- Ależ... gwarantuję, że tak będzie...

- Będę bardzo zadowolona, jeżeli spełni się pańskie proroctwo; może już wrócimy do tamtych państwa?

- Ktokolwiek robi pani przyjemność, zasługuje na najwyższe uznanie...

- Za pozwoleniem!- przerwała mu śmiejąc się. - W tej chwili powiedział pan kompliment samemu sobie...

Zwrócili się od Pomarańczarni z powrotem.

- Wyobrażam sobie zdumienie Rossiego - mówiła dalej panna Izabela - jeżeli spotkają go owacje. On już zwątpił i - prawie żałuje, że przyjechał do Warszawy... Artyści nie wyłączając największych są to szczególni ludzie: bez sławy i hołdów nie mogą żyć, jak my bez pokarmu i powietrza. Praca, choćby najpłodniejsza, ale cicha, albo poświęcenie to nie dla nich. Oni koniecznie muszą wysuwać się na pierwszy plan, zwracać na siebie spojrzenia wszystkich, panować nad sercami tysięcy... Sam Rossi mówi, że wolałby o rok wcześniej umrzeć na scenie

wobec pełnego i wzruszonego teatru aniżeli o rok później w nielicznym otoczeniu. Jakie to dziwne!...

- Ma rację, jeżeli pełny teatr jest dla niego najwyższym szczęściem.

- Pan sądzi, że są szczęścia, które warto opłacić krótszym życiem? - spytała panna Izabela.

- I nieszczęścia, których warto uniknąć w ten sposób - odpowiedział Wokulski.

Panna Izabela zamyśliła się i od tej pory szli oboje w milczeniu.

Tymczasem siedząc nad sadzawką i w dalszym ciągu karmiąc łabędzie hrabina rozmawiała z panem Tomaszem.

- Nie uważasz - mówiła - że ten Wokulski jest jakby zajęty Belą?..

- Nie sądzę.

- Nawet bardzo; dzisiejsi kupcy umieją robić śmiałe projekta.

- Od projektu do wykonania ogromnie daleko - odparł nieco zirytowany pan Tomasz. - Choćby jednakże nawet tak było, nic mnie to nie obchodzi. Nad myślami pana Wokulskiego nie panuję, a o Belcię jestem spokojny.

- Ja, w rezultacie, nic mam nic przeciw temu - dodała hrabina. - Cokolwiek nastąpi, oczywiście zgadzam się z wolą boską, jeżeli zyskują na tym ubodzy... Ciągle zyskują... Moja ochrona będzie niedługo pierwszą w mieście, i tylko dlatego, że ten pan ma słabość do Belci...

- Dajże spokój... Wracają!... - przerwał pan Tomasz.

Istotnie panna Izabela z Wokulskim ukazali się na końcu drogi.

Pan Tomasz przypatrzył im się z uwagą i dopiero teraz spostrzegł, że dwoje tych ludzi harmonizują ze sobą wzrostem i ruchami. On, o głowę wyższy i silnie zbudowany, stąpał jak eks-wojskowy; ona, nieco drobniejsza, lecz kształtniejsza, posuwała się jakby płynąc. Nawet biały cylinder i jasny paltot Wokulskiego godził się z popielatym płaszczykiem panny Izabeli. "Skąd mu ten biały cylinder?.. " - pomyślał pan Tomasz z goryczą. Potem nasunęła mu się dziwna kombinacja: że Wokulski jest to parweniusz, który za prawo noszenia białego cylindra powinien by mu płacić przynajmniej pięćdziesiąt procent od wypożyczonego kapitału. - Aż sam wzruszył ramionami.

- Jak tam pięknie, ciociu, w tamtych alejach! - zawołała zbliżając się panna Izabela. - My z ciocią nigdy nie bywamy

w tamtej stronie. Łazienki tylko wtedy są przyjemne. kiedy można chodzić po nich szybko i daleko.

- W takim razie poproś pana Wokulskiego, ażeby ci częściej towarzyszył - odpowiedziała hrabina tonem jakiejś osobliwej słodyczy.

Wokulski ukłonił się, panna Izabela nieznacznie ściągnęła brwi, a pan Tomasz rzekł:

- Może byśmy wrócili do domu...

- Ja myślę - odparła hrabina.

- Pan jeszcze zostaje, panie Wokulski?

- Tak. Czy mogę panie odprowadzić do powozu?

- Prosimy. Belu, podaj mi rękę.

Hrabina z panną Izabelą poszły naprzód, za nimi pan Tomasz z Wokulskim. Pan Tomasz czuł w sobie tyle goryczy, kwasu i ciężaru na widok białego cylindra, że nie chcąc być niegrzecznym zmuszał się do uśmiechu. A nareszcie, pragnąc w jakiś-kolwiek sposób zabawić Wokulskiego, znowu zaczął mówić mu o swej kamienicy, z której ma nadzieję otrzymać czterdzieści albo i pięćdziesiąt tysięcy czystego zysku.

Cyfry te ze swej strony źle podziałały na humor Wokulskiego, który mówił sobie, że ponad trzydzieści tysięcy rubli już nic nie jest w stanie dołożyć.

Dopiero gdy podjechał powóz i pan Tomasz usadowiwszy damy i siebie zawołał: "Ruszaj" w Wokulskim znikło uczucie niesmaku, a ocknął się żal po pannie Izabeli.

"Tak krótko!" - szepnął patrząc z westchnieniem na łazienkowską szosę, na którą w tej chwili wjechała zielona beczka straży polewająca drogę.

Poszedł jeszcze w stronę Pomarańczarni, tą samą ścieżką co pierwej, upatrując na miałkim piasku śladu bucików panny Izabeli. Coś się tu zmieniło. Wiatr dął silniej, zmącił wodę w sadzawce, porozganiał motyle i ptaki, a za to napędził więcej obłoków, które raz po raz przyćmiewały blask słońca.

"Jak tu nudno!" - szepnął i zawrócił do szosy.

Wsiadł do swego powozu i przymknąwszy oczy nasycał się jego lekkim kołysaniem. Zdawało mu się; że jak ptak siedzi na gałęzi, którą wiatr chwieje w prawo i w lewo, do góry i na dół, a potem nagle roześmiał się przypomniawszy sobie, że to lekkie

kołysanie kosztuje go około tysiąca rubli rocznie.

"Głupiec jestem, głupiec! - powtarzał. - Po co ja się pnę między ludzi, którzy albo nie rozumieją moich ofiar, albo śmieją się z niezgrabnych wysiłków. Na co mi ten powóz?... Czy nie mógłbym jeździć dorożką albo tym oto trajkoczącym omnibusem z płóciennymi firanami?.." Stanąwszy przed domem przypomniał sobie obietnicę daną pannie Izabeli co do owacyj dla Rossiego.

"Naturalnie, że będzie miał owacje, ba! jeszcze jakie... Jutro przedstawienie...

Nad wieczorem posłał służącego do sklepu po Obermana. Siwy inkasent przybiegł natychmiast, z trwogą pytając się w duszy: czy Wokulski nie rozmyślił się i nie każe mu zwrócić zgubionych pieniędzy?...

Ale Wokulski przywitał go bardzo łaskawie i nawet zabrał do swego gabinetu, gdzie z pół godziny rozmawiali. O czym.?...

Pytanie: o czym Wokulski mógł rozmawiać z Obermanem, bardzo zaciekawiało lokaja. Jużci, o zgubionych pieniądzach... Troskliwy sługa przykładał kolejno oko i ucho do dziurki od klucza, dużo widział, dużo słyszał, ale nic nie mógł zrozumieć. Widział, że Wokulski daje Obermanowi

całą paczkę pięciorublówek i słyszał takie oto wyrazy:

- W Teatrze Wielkim... na balkonie i paradyzie... woźnemu wieniec, bukiet przez orkiestrę...

- Co ta besztyja, stary, już zaczyna handlować biletami do teatru czy co?...

Usłyszawszy w gabinecie szmer ukłonów służący uciekł do przedpokoju, aby tam przyłapać Obermana. Gdy zaś inkasent wyszedł, odezwał się:

- Cóż, skończyło się z pieniądzmi?... Dużom ja tu śliny żepszuł ażeby stary pofolgował panu Obermanowi, i nareszcie wymogłem nanim, że mi powiedział: "Zobaczymy, zrobi się, co się da!." No i widzę, pan Oberman dobił dziś targu... Cóż, stary w dobrym humorze!...

- Jak zwykle - odparł inkasent.

- Aleście się nagadali z nim. Musi, że o czymś więcej niż o pieniądzach... Może i o teatrze, bo stary paszjami lubi teatr...

Ale Oberman spojrzał na niego wilczym okiem i wyszedł milcząc. Służący w pierwszej chwili otworzył usta ze zdumienia, lecz ochłonąwszy pogroził za nim pięścią.

- Poczekaj!... - mruknął - żapłaczę ja ci... Wielki pan, patrzcie go... Ukradł czterysta rubli i już nie chce gadać z człowiekiem!